

Biblioteka Dzieł Wyborowych

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

Warunki prenumeraty:

W WARSZAWIE:	Z PRZES. POCZT.:
Rocznie (52 tomy) rb. 10	Rocznie (52 tomy) rb. 12.60
Półrocz. (26 tom.) „ 5	Półrocz. (26 tom.) „ 6.30
Kwartal. (13 tom.) „ 2.50	Kwartal. (13 tom.) „ 3.10

Za odnośzenie do domu 15 kop. kwart.

Cena 40 kop. — W prenum. 19½ kop.

Dopłata za oprawę:

Rocznie . (za 52 tomy) . . .	rb. 6 kop. —
Półrocznie (za 26 tomów) . . .	rb. 3 kop. —
Kwartalnie (za 13 tomów) . . .	rb. 1 kop. 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

Redaktor: ZDZISŁAW DĘBICKI.

Wydawca: KAZIMIERA GADOMSKA.

FILIA W ŁODZI: Księgarnia Stanisława Olczaka, Przejazd 48
FILIA W AMERYCE: Polish Book Importing Co. Inc. New-York.

Druk L. Bogusławskiego, Ś-to Krzyska 11.

Introligatornia Pospieszna, Pańska 20.

BIBLIOTEKA TOW.
LITERATÓW
I INŻYNIERZY POLS.

2991

Leszy

PAMIĘTNIKI HR. DE SÉGUR

ADJUTANTA CESARZA NAPOLEONA I

Przełożyła z francuskiego E. LESZCZYŃSKA

CZEŚĆ I

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH
WARSZAWA SIENNA 2, TEL. 114-30.



Pamiętniki hr. de Ségur

Adjutanta Cesarza Napoleona I.

Przełożyła z francuskiego E. LESZCZYŃSKA.

Część I.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-88-83

WARSZAWA

Druk L. Bogusławskiego, Ś-to Krzyska 11.

Telefon 195-52.

<http://rcin.org.pl>

922/1



<http://rcin.org.pl>

Słowo wstępne.

Przez wicehrabiego E. M. de Vogüé.

Rankiem, 18-go Brumaire'a, roku VIII (9-go listopada 1799), dziewiętnastoletni młodzieniec stał oparty o kratę ogrodu Tuileryów, w tem miejscu, gdzie Most Zwodzony łączył dawne ogrody królewskie z placem Rewolucyi, zwanym dziś placem Zgody. Młodzieniaszek przypatrywał się z nienawistną ciekawością obrotom pułków, stłoczonych w cieniu prastarych drzew, przebiegającym co chwila tam i napowrót oficerom sztabu, którzy dążyli ku ulicy Chantereine lub stamtąd powracali, poprzedzając generała Bonapartego, albo też towarzysząc mu. Wybraniec losu ukazał się, przemówił w ogrodzie do żołnierzy, następnie zaś skierował konia w stronę pałacu, w którym narzucić miał wolę swoją Radzie Starszych. — Sercem przyglądającego się chłopięcia targaly najróżnorodniejsze, sprzeczne a namiętne uczucia. Znużona wewnętrzną rozterką dusza jego wiernie odzwierciedlała nastrój miasta w prze-

dedniu nowych krwawych zamieszek, nastrój tłumu, który zalewał ruchomą falą olbrzymi plac; tak jak ten tłum, chłopie gotowe było uznać nad sobą pana, władcę, dającego mu w zamian niezużytej energii, wyraźną dyrektywę, jasną, ściśle określoną rację bytu.

Ubogi, bez zajęcia, o zapalnym temperamencie, marząc zarówno o sukcesach towarzyskich, jak o dyplomatycznej karierze, o sławie literackiej jak o generalskich szlifach, młodzieniec ten—niby ciężkie brzemie—nosił jedno z najsłynniejszych rodowych nazwisk Ancien Régime'u. Wnuk marszałka Francyi, ministra wojny za rządów Ludwika XVI-go, owego Ségur'a, który wsławił się bohaterskimi czyny pod Laufeld i Klosterkamp; syn hrabiego Ludwika Filipa de Ségur, ambasadora francuskiego przy dworze rosyjskim, pierwszego w Wersalu eleganta, który podbił serce Katarzyny Wielkiej i zdystansował rywala swego—pięknego i świetnego kawalera — ks. de Ligne,—biedak, wsparty o kratę ogrodu Tuileryów, z trudem zarabiał na skąpy kawałek chleba, pisując wodewile i ulotne wierszyki.

Urodzony w r. 1780, dwunastoletni podówczas chłopiec, przeżył okropne dni Terroru, oglądał ruinę rodziny swojej, dziadka wtrąconego do więzienia. Sędziwy marszałek cudem niemal uniknął gilotyny ojca, żyjącego pod wieczną grozą takiej samej okrutnej doli, w skromnym domku w Chantenoy, dokąd schronił się hrabia i gdzie wychowywał syna w ubóstwie i trosce o dzień jutrzejszy. Dziecko budziło się do życia wśród złowieszczych odgłosów walącego się ustroju spo-

lecznego, w którym—w myśl tradycji — należało mu się jedno z najprzedniejszych, najbardziej uprzywilejowanych miejsc. Potwornym rykiem zwiastowała Rewolucya świata potęgę swoją i moc żywiołową, nieodpartą moc. Nienawidząc tej niszczycielskiej siły, chłopiec mimowoli ulegał jej wpływom i czuł, jak pod naporem tych nowych tchnień pękały i rwały się spoidła wewnętrznej jego isloty, rozpadały się w proch niewzruszone, rzekomo, pewniki, najświętsze, po dziadach i pradziadach odziedziczone, zasady.

W prześlicznym wstępie do swoich „Pamiętników” Filip de Ségur analizuje niesłychanie trafnie ten moralny przełom swych lat chłopięcych; twierdzi, iż wielu współczesnych mu przez taką samą duchową przechodziło walkę: „Wszelka wiara była zachwiana, wszelki kierunek błędny albo niepewny; im bardziej myślące i zapalne były dusze ludzkie, tem bardziej błędzily i błąkały się bez echa wśród tego niezmiernego przestworza pustyni bez końca ni granic, gdzie nic nie powstrzymywało ich od błędów i upadków, gdzie niejednokrotnie — stargane i zniechęcone—konały wreszcie, zapatrzone w groźne widmo śmierci, poprzez kurzawę rozpadającego się w gruzy gmachu młodzieńczych marzeń i ideałów!... Wkrótce śmierć, jako koniec wszechrzeczy, wydała mi się jedyną, niezaprzeczoną prawdą. Śmierć tylko widziałem wszędzie i we wszystkim... Gineła w męce znużona dusza moja; coraz bliższy byłem nędznego, bezużytecznego epilogu...”

Dziwny zbieg <http://okolicznosci.pl> W pobliżu

Chantenoy, gdzie młody desperat analizował tak nieujęte swoje cierpienie, rozmyślając o samobójstwie, inny rozbitek owych strasznych czasów, wice-hrabia de Chateaubriand, w skromnym domku w Savigny, ukończyć miał niebawem jedno z arcydzieł swoich: „Réné”, przejrzystą autobiografię, w której temi samemi niemal słowy opisuje tę szczególną „chorobę wieku”. Porównajcie dzieło Chateaubriand’a z pierwszą częścią „Pamiętników” Ségur’a: są to jakgdyby dwie podobizny jednej i tej samej osoby. A kto wie, czy „Pamiętniki” nie są szczerzym i wierniejszym portretem.

Owo zniechęcenie do życia, które było raczej niezaspokojeniem pragnieniem czynu, wzrastało w duszy Filipa w ostatniej dobie Dyrektoryatu. Napróżno oklaskiwany przez grono modniśców, starał się oszołomić sukcesami na niwie literackiej: napady melancholii wracały ze zdwojoną siłą. Taką właśnie chwilą zwątpienia i rozpaczny był dla niego ów chmurny poranek listopadowy, podczas którego widzimy młodzieńca u wejścia do ogrodu Tuileryów. — Wtem, nagle, otwarły się wrota Pont-Tournant, pod kopytami końskimi zadudniła ziemia: pułk dragonów Murat’a gnał cwałem w stronę Saint-Cloud... Widok ten wstrząsnął do głębi chłopcem, niczem cudowna wizya, która przed wiekami, nieopodal od Damaszku, powaliła w pył przydrożny apostoła Pawła. Nieprzepartym urokiem pociągały go te srogie pułki krwawej Rewolucyi, nienawistne mu jeszcze przed godziną; serce rwało się ku bohaterowi, a instynkt rycerskiego dziecka szeptał mu,

że tam — w armii — jest zbawienie, ratunek i nadzieja: „Chwila ta zadecydowała stanowczo o całej mojej przyszłości; w żyłach zakipiała warem rycerska krew ojców, a przed oczyma roztaczały się świetne obrazy przyszłej chwały i zwycięstwa.”

Kilką dni później, mimo oporu rodziny i perswazyi zgorszonych przyjaciół, zaciągnął się do nowoutworzonego oddziału huzarów Bonapartego. Początkowo roił, iż wskrzesi w armii ducha monarchicznego, niebawem jednak uległ najzupełniej przemożnemu wpływowi genialnego generała. Pierwszy konsul zaś, uszczęśliwiony, że wydarł wybitniejszą jednostkę wrogiej sobie partyi, mianował go odrazu porucznikiem. Potem awansował szybko, po każdej nieledwie większej bitwie. Ciężko ranny pod Somo-Sierrą, komendant do Ségur odbył podróż z Hiszpanii do Francyi w kolebce, wysłanej zdobycznemi Sztandarami, które złożył następnie jako trofea w izbie obrad Ciała Prawodawczego. Jako adjutant przyboczny cesarza, mianowany generałem w trzydziestym roku życia, przebywając wciąż w najbliższem otoczeniu Napoleona, Ségur służył mu wiernie aż do końca. Po upadku Cesarstwa wystąpił z wojska i jął się znów pióra; tym razem jednak nie snuł już mglistej przędzy marzeń, lecz opisywał poszczególne wypadki bohaterskiej epopei, w której brał czynny udział i której naocznym a ważnym był świadkiem. Rys historyczny kampanii rosyjskiej, wydany w roku 1824, zainteresował szerszy ogół barwnym opisem męstwa i bezmiernych cierpień Wielkiej Armii. W niespełna trzy lata dziesięciokrotnie ponawiano nakład. Autor

został członkiem Akademii francuskiej w roku 1830; w gronie czterdziestu „Nieśmiertelnych” znajdował się również ojciec jego, znany i ceniony podówczas historyk. Ostatnie miesiące swego życia spędził stary hrabia wraz z synem, na wspólnej pracy, która przypominała im dalekie już czasy Dyrektoryatu i cichy, ubogi domek w Chantenoy. Filip zasiadał w Akademii lat czterdzieści trzy. Żołnierz—tylokrotnie ranny, doczekał późnej starości; zmarł w roku 1873, przeżywszy lat dziewięćdziesiąt trzy. Zostawił jako spuściznę literacką siedem tomów „Pamiętników”, które obejmują całokształt dziejów Cesarstwa.

„Pamiętniki” te ogłoszono dopiero w roku 1875, wkrótce po śmierci generała. Gdyby zniknąć miały z widowni wszystkie dzieła o Napoleonie, za wyjątkiem jednego tylko—bez wahania wybrałbym książkę Ségur’a, jako najciekawsze odbicie danej epoki i potężnej sylwetki wielkiego cesarza. Zbiorowe jednak wydanie nie cieszyło się początkowo równie wielkim powodzeniem jak część pierwsza, wydrukowana za czasów Restauracyi p. t. „Historya Napoleona i Wielkiej Armii w roku 1812”. Pewnym sprawdzianem w tej mierze jest znakomity „Przewodnik bibliograficzny literatury francuskiej od r. 1800 do r. 1906”—Hugona Thieme’go, profesora uniwersytetu w Michiganie. Informacye uczonego amerykańskiego—prawie, że nieomyłne — godne są najwyższego uznania; „Przewodnik” jego wymienia najdrobniejsze nawet utwory naszych pisarzy, zaledwie gdzieś niegdzie cośkolwiek pomijając. Prof. Thieme podaje spis wszystkich prac hr. Ludwika—Filipa de

Ségur, ojca generała; kilkakrotnie wyszczególnia również dzieła innych członków tejże rodziny. (Wiadomo, iż obecnie przedstawicielem jej w Akademii jest margrabia Piotr de Ségur, znany i powszechnie ceniony w Europie historyk XVIII go stulecia). Pominiętym został jedynie generał i jego „Pamiętniki”. Łatwo zrozumiałą jest ta nieświadomość bibliografa-cudzoziemca, skoro we Francji nawet, w obszernem wydawnictwie „Historji literatury francuskiej”, redagowanem niegdyś przez grono uczonych profesorów Sorbony, pod kierownictwem Petit de Julleville'a—poświęcono zaledwie kilka wierszy generałowi Ségur i jego „Kampanii r. 1812”, z zupełnem pominięciem „Pamiętników”.

Rozmaicie tłómaczyć można te niesprawiedliwości. W chwili ukazania się „Pamiętników”, żył i rządził Francją Adolf Thiers. Imię jego było wyrocznią we wszystkich sprawach, dotyczących doby Napoleońskiej; panował więc despotycznie nad całym tym okresem dziejów Francji, nie tolerując żadnego uzurpatorstwa, ani też żadnej innowacyi. Sądził—a ogół podzielał to mniemanie—iż dzieło jego o Napoleonie wyczerpało doszczętnie dany materiał historyczny. Krytyka zaś lękała się narazić w czemkolwiek równie uczonej i wpływowej osobistości. Skądinąd, niechętnie wspominano pierwsze cesarstwo niespełna w trzy lata po fatalnym upadku drugiego. Dopiero dwanaście, a nawet piętnaście lat później, owa niechęć lub conajmniej obojętność dla imienia Napoleonów przekształcić się miała powoli we wzrastające coraz bardziej uwielbienie dla bohater-

skiej legendy cesarza, uwielbienie, którego wyrazem są nader liczne wydawnictwa Pamiętników wojskowych, mnożące się w ostatnim dziesiątku XIX-go stulecia. Wreszcie, przestarzały nieco styl generała byłby wywołał pogardliwy uśmieszek na уста czytelników Emila Zoli; w pełni rozkwitu szkoły naturalistycznej, proza starej daty stanowiła zbyt rażący kontrast. Smutną byłaby dola dzieł romantyka—np. „Męczenników” lub chociażby nawet „Przewodnika” Chateaubriand’a—ukazujących się po raz pierwszy ogółowi francuskiemu w takim momencie.

Kształcony na wzorach klasycznych, Ségur naśladowuje sposób pisania Tucydidesa i Liwiusza; lubuje się w długich okresach i kwiecistych zwrotach. Będąc nadto—jak wszyscy współcześni mu—gorącym zwolennikiem Rousseau’a, przejmuje mimowoli cechy stylistyczne Jana-Jakóba. Pragnie być dziejopisarzem szerszej miary — historykiem wielkiego człowieka—próżno więc szukalibyśmy w jego dziełach bezpretensjonalnej prostoty zwykłych pamiętnikarzy. Lecz pod niemodną już zewnętrzną szatą, odnajdujemy szybko kipiące życiem postacie, szczerzy dramatyczny nastrój i głęboką prawdę tych autentycznych opisów.

Krzywdą, wyrządzoną przed laty autorowi, została obecnie wynagrodzona. Nowsza szkoła historyków zrozumiała i oceniła znaczenie i wartość tego niezwykłego dokumentu; przywróciła mu właściwe stanowisko w literaturze, z dniem każdym kładąc nań większy nacisk. Jakkolwiek są to dwa dzieła najzupełniej różne, sprawa „Pamiętników” Ségur’a przypomina inne pamiętniki,

które wyszły w XVII w. z pod pióra Saint-Simona, a któremi zaczęto interesować się dopiero po upływie stulecia. „Czytane początkowo przez nieliczne uprzywilejowane jednostki:—„Zajmująca to lektura, pisała w r. 1770 p-ni du Deffand, jakkolwiek styl jest ohydny, postacie źle naszkicowane, a autor pozbawiony dowcipu...” — to niepospolite arcydzieło, o niezwykle oryginalnej i pięknej formie, zdobyło sobie popularność dopiero w r. 1829. — Nieodżałowany Albert Sorel, jeden z największych i najświetlejszych erudytów doby napoleońskiej, mawiał często, że opowiadania Ségur'a rzucają lepsze światło na całą tę epokę, aniżeli wszystkie dokumenty archiwalne. Tego samego zdania jest inny uczony historyk, Albert Vandal.

Thiers wymienia poszczególne fakty, opisuje znakomicie wewnętrzny ustrój Cesarstwa, instytucje cywilne i wojskowe, zagadnienia polityki ówczesnej i matactwa dyplomatyczne; kreśli życiorys konsula i cesarza. Lecz zarówno ducha istota genialnego zdobywcy jak i warunki, które umożliwiły mu w tak krótkim czasie wzniesienie nowego państwa na zgliszczach i ruinach dawnego ustroju — pozostają dla nas obcemi; Thiers dochodzi do pewnych wniosków w tym kierunku jedynie na podstawie wyrozumowanych dedukcji. Ségur natomiast przenosi czytelnika o sto lat wstecz, czyni go współczesnym wielkiego cesarza i zwycięskiej jego armii, współczesnym owej epoki cudów. Cudem bowiem, który dziś nawet zaledwie zdołamy pojąć i który interesuje nas bardziej od opisów kampanii i bitew—

jest nagły i całkowity przewrót w narodzie, do niedawna jeszcze druzgocącym zaciekle odwieczne prawa i instytucje, jest entuzyastyczne zrzeczenie się wolności na rzecz młodego Korsykana i wybór nowego cesarza niespełna pięć lat po ostatnich saturnaliach rewolucyjnych i anarchii czasów Dyrektoryatu. Ségur rozwiązuje drażniącą tę zagadkę, odsłaniając nam własną duszę. Czytelnik zechce wybaczyć mi pewną rozwlekłość opowiadania; jeśli jednak położyłem szczególny nacisk na młodociane lata żołnierza-historyka, na jego życie wewnętrzne i decydujący moment, który pokierował dalszemi jego losami, wbrew przewidywaniom i prawdopodobieństwu, to dlatego, iż w tym właśnie momencie jest on niejako symbolem, typowym przedstawicielem narodu, tak jak on zdjętego uwielbieniem, chylącego się kornie do stóp władcy. Takim samem namiętnem tętnem były wówczas serca w całej Francji.

Co się zaś tyczy osoby cesarza—Ségur daje nam najlepsze, najwiarogodniejsze informacye. Należąc do najbliższego otoczenia cesarza, w ciągu piętnastu lat obserwuje go życzliwem, lecz spostrzegawczem okiem; notuje niezamordowanie potęgę królewskich orlich lotów Napoleona, aż do chwili, w której—jako wierny towarzysz i sluga—stwierdza ze smutkiem stopniowy upadek duchowych władz swego wodza. Dla ogółu czytającego, dla tych zwłaszcza, którzy żądają przede wszystkim od historii psychologicznej prawdy, ujawniającej tajniki duszy tłumu i duszy wielkich

ludzi -- „Pamiętniki” generała stanowią nieocenione źródło poznania.

Mam nadzieję, że z czasem spółka wydawnicza Nelson ogłosi drugi tom, w którym zebrane będą najciekawsze rozdziały. Na razie, ofiarowuje międzynarodowej publiczności część główną, wydaną we Francji w r. 1824 jako oddzielną pracę p. t.: „Historja Napoleona i Wielkiej Armii w r. 1812”. Rok 1812!... Kampania rosyjska!... Kulminacyjny punkt nieśmiertelnej epepej, tragiczny nastrój tysięcy dusz ludzkich, jednocześnie ujarzmionych i buntujących się, zdjętych uwielbieniem dla bohaterских czynów i pełnych grozy na widok okrutnej nędzy i bezmiernych cierpień!... Ségur był jedną z nielicznych względnie jednostek, które przetrzymały wszystko, które wyszły cało z pośród tego ogromu nadludzkich niemal trudów i niedoli. Wrodzona skromność nie pozwoliła mu mówić o sobie, lecz jego towarzysze broni wspominają niejednokrotnie z jakim stoicyzmem znosił najcięższe próby, największe niewygody, jak własnym przykładem podnosił w innych ducha. Dzięki temu zachował też całkowicie właściwy sobie niezwykły dar obserwacyi; wszystko dojrzał, wszystko zauważył i z zupełną ścisłością opisać mógł później straszliwe sceny, które rozgrywały się w ciągu tych okropnych miesięcy, a na które większość jego towarzyszy spoglądała poprzez mgłę obłądnej trwogi. Z pierwszych nieledwie słów jego „Pamiętników” wieje potężne tchnienie prawdy, o głębokiem dramatycznym napięciu. Więc chęć wskrzeszenia legen-

darnej sławy Aleksandra i wymarsz Wielkiej Armii, pociągającej za sobą wojenny kontyngens wszystkich ludów Europy. Więc pierwsze niepowodzenia, namiętny opór Rosyan, walka z klimatem, nieustanna pogoń za niedościgłym nieprzyjacielem, rodzące się zwątpienie, szemranie rozważniejszych dowódców, zaostrzone współzawodnictwo marszałków: Berthier'a, Ney'a, Davout'a, Murat'a. Napoleon ulega pozornie rozumnym perswazyom, ukrywając istotne swoje zamiary z istic włoską przebiegłością—dostrzeżoną jednak przez Ségur'a. Silniejszym od perswazyi i argumentów jest zwodniczy urok barwnego mirażu, który ukazuje mu wroga, pokonanego wreszcie wśród bezkresu stepów. Potem — bitwa pod Moskwą, nieskończona walka, niepewne zwycięstwo, olbrzymie pobojowisko, zaścielane co dnia stosami krwawych trupów. Z dziełem generała, który notuje jedynie całokształt faktów, porównać można uzupełniające je poniekąd, drobiazgowo opisy tejże bitwy w powieści Tolstoja: „Wojna i Pokój”. Pewnego razu rozmawiałem z popem ze wsi Borodino a tematem rozmowy była—jak zwykle na wsi — kwestya żniw i urodzajów, nader licho zapowiadających się tego roku. „W dzieciństwie mojem — rzekł ksiądz — plony były tu obfitsze, kłosy pełniejsze; krew ludzka użyźniła ziemię doskonale i na długo”.

W ówczesnej działalności cesarza, Ségur zaznacza pewne roztargnienie w chwilach najbardziej krytycznych, pełną fatalizmu rezygnacyę, obcą mu dotychczas trudność powzięcia ostatecznej decyzyi i szybkiego orientowania się, zalety,

które przed laty głównie przyczyniły się do świętych zwycięstw pod Marengo i Austerlitz. Według Ségura, zmiany te były jedynie wynikiem dręczących Napoleona dolegliwości fizycznych. Zajęcie Moskwy, podziw armii, zdumionej wschodnim przepychem zdobytego miasta, nadzieja bliższego a chlubnego dla Francji pokoju—oto jedyne jaśniejsze momenty całej kampanii; niebawem jednak, za przyczyną Roztopczyna, spłonąć miała doszczętnie prastara carów siedziba, otaczając zwycięzców dymami pożogi. Ségur mówi z uwielbieniem o niezwyklej postaci generał-gubernatora i wbrew ogólnie rozpowszechnionej w Rosyi opinii, oddaje cześć patryotycznemu czynowi, który zrodził się z rozpacz, a do którego sam Roztopczyn nigdy niechciał się przyznać, pokrywając zagadkowem milczeniem ostatnie dni pobytu swego w Moskwie.—Dziwnym zbiegiem okoliczności, kilkanaście lat później, córka podpalacza poślubić miała rodzzonego siostrzeńca żołnierza-historyka, który w owym krwawym roku zbeczczył świętokradką dłoń czczoną przez Rosyan bramy Moskwy i Kremlinu. Hrabina de Ségur—znana i ceniona autorka prześlicznych książek dla dzieci, małych arcydzieł, z prawdziwym pisanych talentem, literackim swoim dorobkiem zwiększyła zasługi zdobyte na tem polu przez rodzinę męża.

Z kolei, opisuje Ségur dzieje odwrotu, tragiczny pochód Wielkiej Armii wśród śniegu i lodowych pól, niejednokrotnie krwią zboczonych, nieskończoną wędrówkę malejących z dniem każdym szeregów, nędzę i głód, wzrastające zniechęcenie i niema, w bólu siężalą rozpacz, okro-

pną biel śniegiem zawianych bezkresów. Potem—przejście Berezyny i dla wielu tych, którzy dotychczas szczęśliwie uszli śmierci—okropna mogiła w zdradzieckich nurtach rzeki. Wreszcie odjazd Napoleona i zupełne opuszczenie szczątków wspaniałej niegdyś armii wśród błot i trzęsawisk Polesia... Historyk maluje wiernie coraz bardziej ponure sceny i obrazy, a opowiadanie jego budzi w duszy to samo uczucie żalu i przygnębienia, jakiego doznajemy, patrząc na słynne płótno Meissonnier'a, na znękane postacie marszałków, dążących po grudzie śladem cesarza, ze zwieszoną na piersi głową, na tle szarego beznadziejnie smutnego nieba. Nosilem się początkowo z zamiarem przytoczenia niektórych, najcenniejszych fragmentów, lecz zaniechałem go wkrótce; zbyt trudnym byłby wybór, gdyż wszystkie równie są ciekawe, wszystkie równą przedstawiają wartość. Nie wątpię, iż czytelnik potwierdzi w zupełności uznanie moje dla tej pięknej książki.

Za pośrednictwem Ségur'a, pozna cesarza takim, jakim był istotnie, jakim widywał go światły obserwator, pobłażliwy, lecz bynajmniej nie zaślepiony; pozna Napoleona bez obsłonek, nie zniekształconego jeszcze przez legendy i opowieści; człowieka z krwi i kości, niekiedy tkliwego i czulego, o zwykłej ludzkiej duszy; nieludzkiego zaś i nadludzkiego w chwilach, gdy władał nim szatan pychy i obłądnych marzeń; pozna wloty i upadki tego geniuszu, który bądź dorównywał samemu sobie i stawiał mężnie czoło trudnościom szalonych swoim [ogromem](http://goj.in.org.pl) zamiarów, bądź też

potykał się i błdził, miotany już własnoręcznie rozpętaną nawałnicą, chylącą się do upadku, gnębiony chorobą, zostawiający wreszcie na pastwę losu pulki swoje, starych żołnierzy, w oczach których utracił był częściowo wskutek klęski dawny urok i przewagę. Wobec tych opisów, tchnących życiem i prawdą, dających nam wierną podobiznę jednostki niewątpliwie niepospolitej, lecz zrozumiałej i szczerze ludzkiej, nie zdziwi zapewne czytelnika końcowe zdanie przedmowy, która poprzedza „Pamiętniki”: „Ujrzymy bohatera w człowieku, człowieka w bohaterze; zglębimy potęgę wpływu jego na pokolenia, których ostatni przedstawiciele są już na wymarciu”.



Towarzysze moi!

Postanowiłem skreślić dzieje Wielkiej Armii i jej wodza w ciągu r. 1812.

Dzieło to poświęca tym z pośród Was, których śniegi i lody Północy pozbawiły sił i zdrowia, którzy dziś służyć mogą ojczyźnie jedynie wspomnieniem przecierpianych nieszczęść i minionej chwały! Wykolejeni zawistną dłonią losu, żyjecie raczej przeszłością, aniżeli chwilą obecną; wolno jednak żyć wyłącznie wspomnieniem, gdy wspomnienia takiej są miary. Nie obawiam się tedy, przypominając okropne te czasy, zakłócić wam tak drogo okupiony spokój. Wiemy przecież wszyscy, że wśród najgorszych przeciwności wzrok zepchniętego na dno otchłani człowieka, zwraca się mimowoli ku świetności minionych dni wówczas nawet, gdy blask ten kładzie się świetlaną smugą na bezpośrednią przyczynę upadku i oświetla ruiny jego i zgliszcza!

Przyznam się, iż osobiście czuję nieprze-
party pociąg ku tej smutnej epoce naszych pu-
blicznych i prywatnych nieszczęść. Bolesną roz-

kosz sprawia mi rozpamiętywanie poszczególnych epizodów tych wszystkich okropności. Czyżby dusza ludzka pyszniła się również liczbą i głębokością blizn i obnażała je z upodobaniem? Czy też raczej—poza chęcią poznania—człowiek nie odczuwa w pierwszym rzędzie potrzeby podzielenia się z kimś swojemi wrażeniami? Czyż zdolność odczuwania i budzenia uczuć w bliźnich nie stanowi najpotężniejszego czynnika duszy naszej?

Jakiemikolwiek wszakże byłyby kierujące mną pobudki, ulegam potrzebie odtworzenia wrażeń, jakich doznawałem w ciągu tej nieszczęsnej wojny. Korzystając z dowolnych wczasów, pragnę uporządkować dawne wspomnienia, zebrać je i streścić. Starzy druhowie, przypomnijcie sobie ubiegłe lata! niby cennego skarbu strzeżcie bohaterkich wspomnień, które tak drogo okupiliśmy, a które są jedyną po nas puścizną, jedyną pozostałością minionych dni. Porażka wasza chlubniejsza była, aniżeli zwycięstwo wrogów! Bądźcie więc bez sromu! Podnieście z dumą te szlachetne czoła, o które obijały się gromy całej Europy! Nie spuszczaćcie oczu, które widziały tyle stolic zdobytych, tylu władców pokonanych!... Niewątpliwie, godnymi byliście lepszej doli, od was wszakże zależy w zupełności sposób, w jaki zużytkujecie najpożyteczniej resztę życia. W ciszy i osamotnieniu niedoli, dyktujcie historii wasze wspomnienia, a jasny blask prawdy niechaj przyświeca wam zawsze w ciągu bezsennych — pracy poświęconych nocy.

Sam zaś skorzystam z przywileju — niekiedy smutnego, częściej szczytnego — opisania wszy-

stkiego, com widział, odmalowania wszelkich, najdrobniejszych nawet szczegółów. Sądzę jednak, iż pewna drobiazgowość nieodzownie konieczną jest dla należytego zrozumienia geniuszu cesarza i gigantycznych czynów, które są dla nas najrzetelniejszą miarą potęgi, sławy i niedoli człowieka!

Począwszy od roku 1807, znikła przestrzeń, dzieląca Ren od Niemna; obie rzeki stały się rywalkami. Traktat tyłżycki, zawarty wyłącznie na korzyść Aleksandra, z pominięciem Prus, Szwecyi i Turcyi — był wynikiem porażki Rosyan, oraz dniem poddania się imperium pod jarzmo systemu kontynentalnego. Jako taki, przynosił ujmę narodowej godności Rosyan — rzecz rozumiała dla nielicznych tylko jednostek — i narażał kraj na znaczne straty materyalne, rozumiałe dla całego ogółu i jednakowo wszystkich obchodzące.

Utworzeniem systemu kontynentalnego, Napoleon wypowiedział Anglii walkę zażartą na śmierć i życie; zaangażował w niej sławę swoją i honor, losy Francyi i własny byt polityczny. System ten odpychał od kontynentu wszelkie towary angielskie, lub też takie nawet, które opłacały Anglii jakiegokolwiek cło. Domagał się zatem powszechnej zgody, akcesu wszystkich narodów, czyli innemi słowy zwierzchnictwa Francyi nad całą Europą.

Francya tymczasem naraziła sobie ludy zwycięstw swemi, władców zaś krwawą rewolucyą i założeniem nowej dynastyi. Nie mogła mieć sprzymierzeńców ani też rywali, lecz tylko poddanych, gdyż sprzymierzeńcy byliby fałszywi

a współzawodnicy bezlitośni. Musiała tedy albo wszystkich ujarzmić, lub też wszystkim uleść.

Jakkolwiek wysoko wzniósł się był Napoleon ponad ludy Południa i Zachodu, dostrzegał zawsze wśród śniegów i lodów Północy prastary tron Aleksandra, współrzędny mu siłą i ogromem. Na dalekich rubieżach Europy, skąd płynęły niegdyś zwartą falą dzikie hordy najeźdźców—widział zbiorowisko nieokielznanych żywiołów, do nowego gotujących się zalewu. Dotychczas Austria i Prusy stanowiły ochronną tamę od wschodu; własnoręcznie jednak cesarz tamę tę przerwał lub osłabił. Stał więc teraz samotnie jako jedyny obrońca cywilizacji, dobrobytu i zdobyczy kulturalnych ludów Południa, przeciw ciemnocie i chciwości ubogich mieszkańców Północy, przeciw zaborczym instynktom cesarza ich i szlachty.

Widocznem było, że tylko wojna zdoła rozstrzygnąć namiętny ten spór, tę odwieczną walkę nędzarza z bogaczem, głodnego z sytym; skądinąd jednak wojna ta nie była ani wojną ogólnoeuropejską, ani nawet narodową. Europa była jej niechętna, gdyż ewentualne zwycięstwo wzmogłoby potęgę Napoleona; Francya, wyczerpana, łaknęła pokoju; kwiat arystokracji i inteligencji francuskiej, wchodzący w skład dworu cesarskiego, z lękiem myślał o przeszłości, z lękiem spoglądał na nowe przygotowania wojenne, na rozproszone między Kadyksem a Moskwą wojska, a jakkolwiek uświadamiano sobie bliskość tego zatargu, nikt nie był przekonany o jego nieodzowności.

Cesarz wszakże — zarówno z pobudek poli-

tycznych, jak i ulegając wrodzonej sobie przedsiębiorczości — powziął tytaniczny zamiar całkowitego opanowania Europy przez pogniębienie Rosyi i odebranie jej zagarniętych ziem polskich. Wbrew woli jednak i chęci, tajemnica stała się publiczną. Olbrzymie przygotowania, jakich domagała się tak daleka wyprawa, stopy prowiantów i amunicyi, szcegł broni, turkot ładownych wozów i furgonów, wzmożony, gorączkowy ruch w koszarach i depôts wojskowych, majestatyczny i straszliwy pochód wszystkich sił Zachodu—przeciw wschodnim, pół-dzikim ludom, wszystko to zwiastowało Europie bliskie starcie dwóch potężnych współzawodników.

Aby dosięgnąć granic Rosyi, trzeba było przejść przez ziemię pruskie i minąć terytoryum austriackie, mając z jednej strony Szwecyę, z drugiej zaś Turcyę. Koniecznem więc było zawarcie zaczepno odporne go przymierza z czterema temi państwami. Austria podlegała wówczas wpływowi Napoleona; Prusy zależne były od Francyi. Odrazu też projekt cesarza zyskał sobie w Wiedniu akces dobrowolny, w Berlinie przymusowy. Na mocy umowy z 12 lutego 1812 r. Prusy zobowiązały się dostarczyć dwadzieścia do trzydziestu tysięcy ludzi, oraz oddać większość fortec swoich i magazynów do dyspozycyi armii francuskiej.

Natomiast współludział Austrii wyrozumowany był i na ścisłej oparty rachubie. Leżąc w pośrodku, między olbrzymim obszarem Rosyi a potęgą Napoleona, Austria przyklasnąć mogła tylko walce; bez względu na rezultat, obaj zapaśnicy musieli w końcu wzajemnie się osłabić ku

jej bezsprzecznej korzyści. 14-go marca 1812 roku przyobiecowała dać Francji trzydzieści tysięcy ludzi; potajemnie jednak udzieliła dowódcom szeregów, nader oględnych instrukcyi. Jako indemnizacyę poniesionych kosztów, otrzymała w zamian mglistą obietnicę rozszerzenia terytorium oraz gwarancyę przynależności Galicyi. Na wypadek zaś częściowej cesyi tej prowincyi na rzecz Królestwa Polskiego, dostać miała tytułem odszkodowania Krainę, Karyntyę i całą tę część pobrzeża. (Tajna Umowa art. 6).

Pomyślny wynik wojny nie był więc w niczem zależny ani od cesyi Galicyi, ani też od względów, jakich domagała się zawistna i drobiazgowa dyplomacya austriacka. Z chwilą tedy wejścia do Wilna, Napoleon mógł być obwieścić wyzwolenie całej Polski, zamiast zwlekać, osłabiając tem samem zapał i ofiarność narodu.

A jednak był to właśnie jeden z tych najważniejszych momentów, które grają decydującą rolę w każdym przedsięwzięciu politycznem czy też militarnem, jeden z tych momentów, z którymi wszystko się wiąże, od których wszystko zależy. Lecz bądź Napoleon zbyt liczył na przewagę własnego geniuszu, na potęgę i sprawność armii swojej, na niemoc Aleksandra, lub uważał, iż zbyt ryzykownem byłoby powolne i systematyczne prowadzenie tak dalekiej ekspedycyi; bądź też — jak sam do tego się przyznaje — nie był pewny wygranej, dość, że zaniechał prawnego wyzwolenia kraju, który oswobodził, albo raczej projekt ten odroczył.

http://rain.org.pl Nie starał się nawet oczyścić południowych

provincyi Polski z nielicznych oddziałów nieprzyjacielskich, które obecnością swoją hamowały patryotyzm Polaków, nie pozwalając na swobodne organizowanie—duszą i ciałem oddanych Francyi—pulków powstańczych.

Przyzwyczajony do szybkiego działania, do błyskawicznych obrotów, naśladować chciał samego siebie, mimo zasadniczej różnicy warunków i okoliczności. W ułomnej naturze ludzkiej leży bowiem potrzeba naśladownictwa; wielcy zaś ludzie, zwykłą przerastający miarę, z nawyknięcia naśladowują samych siebie i giną zazwyczaj od broni, którą wojowali, giną zawczasie, tem właśnie, co stanowiło najelementarniejsze zalety ich geniuszu.

Napoleon zawierzył ślepo szczęśliwej swojej gwiazdzie. Sądził, iż pięćkroć stotysięczna armia w zupełności zapewniała mu zwycięstwo. W niej też wszystkie pokładał nadzieje. Zamiast dążyć do zwycięstwa drogą ofiar i poświęcenia, przez zwycięstwo przeciwnie otrzymać chciał wszystko; to, co miało być celem — stawało się jeno środkiem, do celu prowadzącym. Na zwycięstwo liczył tak bardzo, obciążał je takim brzemieniem odpowiedzialności, że potrzeba przekształciła się zwolna w nieodzowną konieczność. Tem tłumaczy się nadmiernie przyśpieszona akcja, tem—namiętna chęć jaknajszybszego wydostania się z krytycznej sytuacji.

Nie należy jednak wydawać pobieżnych sądów o tak potężnym i uniwersalnym geniuszu. Przekonamy się bowiem wkrótce, że w znacznej mierze zniewolony został do tego przedsięwzięcia

szczególnym zbiegiem przemożnych okoliczności, a jeżeli nawet zuchwały był sposób prowadzenia tej kampanii, ostateczne jej wyniki byłyby niewątpliwie pomyślne, gdyby nie choroba cesarza i przedwczesny upadek sił.

Traktaty, zawarte z Austryą i Prusami, otwierały Napoleonowi drogę do Rosyi. Pozostała jeszcze Szwecya i Turcya.

W owym czasie wszystkie kombinacye militarne do tak olbrzymich doszły rozmiarów, że przy układaniu planów kampanii nie brano już w rachubę konfiguracyi pojedynczych prowincyi, rzek, lub łańcuchów górskich. Gdy tacy potentaci, jak Aleksander i Napoleon ubiegali się o zwierzchnictwo nad Europą, należało ogarnąć całokształt ogólnej sytuacji wszystkich państw, oraz wzajemny ich stosunek; celem zaś obrad i zamysłów nie były już poszczególne krainy, lecz cała kula ziemską!

Owóz Rosya panowała i panuje niepodzielnie nad tą połacią Europy. Z północy i południa morze naturalną stanowi granicę, a olbrzymie, prawie że niezmierzone przestrzenie i ostry klimat, z którym niekażdy naród mógłby walczyć—najlepszą są obroną. Konieczną więc była pomoc Turcyi i Szwecyi, aby uderzyć na imperyum, ugodzić je w samo serce przez zajęcie Petersburga i—zamiast atakować częściowo czoło wojsk rosyjskich wśród rozległej równiny, która jest wymarzoną terenem dla rozproszonych i uciekających pułków — w znacznej odległości obejść z lewego flanku wielką armię nadnie-meńską.

To też wszyscy, nawet prości żołnierze, z dnia na dzień oczekiwali wieści o pochodzie Wielkiego Wezyra na Kijów i wkroczeniu wojsk Bernadotté'a do Finlandyi. Ośmiu monarchów zaciągnęło się już pod sztandary Napoleona, lecz wahali się dotychczas ci dwaj, na których najwięcej mu zależało. Zaiste, godnem wielkiego cesarza byłoby zjednanie sobie wszystkich mocarstw, wszystkich narodów całej Europy; godnem wielkiego cesarza byłoby zupełne zgnębienie potężnego przeciwnika, urzeczywistnienie kolosalnych, szalonych niemal snów i rojeń. Gdyby zaś zabrakło nowoczesnego Homera, aby unieśmiertelnić bohaterską epopeję władcy nad władcami, spiżowy głos XIX-go stulecia — wówczas niezapomnianego stulecia boju i chwały — byłby zastąpił gędźbę natchnionego pieśniarza, dźwęcząc potężnie, rozgłośnie, w ciągu długich lat budząc do życia młode, w chwale poczęte pokolenia.

Nie był nam wszakże sądzony taki ogrom sławy.

Bezgranicznem tedy było zdumienie nasze, gdy doszły wreszcie wieści o zawarciu przez Rosyę wrogich nam traktatów z Turcyą i ze Szwecyą. Z niepokojem spoglądaliśmy na prawe nasze skrzydło — odsłonięte, lewe — znacznie osłabione, na zagrożoną teraz powrotną drogę.

Cesarz — przeciwnie — mniemał, iż potęga jego geniuszu i olbrzymia, sześćkroć stotysięczna armia, przeważą na szali; że zwycięstwo, odniesione nad Niemnem, przetnie spleatany węzeł dyplomatycznych trudności, które może zbyt

sobie lekcewał; że wówczas wszyscy monarchowie europejscy, olśnieni świetnym blaskiem gwiazdy cesarskiej uchylą przed nim czoła, że będzie gorzał jako słońce w otoczeniu satellitów.

9-go maja 1812 roku Napoleon—dotychczas zwycięzca,—opuścił pałace cesarskie, do których powrócić miał w niedalekiej przyszłości zwyciężony i znękany.

Z Paryża do Drezna otaczał go wonny dym kadzidel. Pokonani i ujarzmieni, Niemcy—bądź to z poczucia miłości własnej, bądź też wskutek upodobania do niezwykłych zjawisk, gotowi byli uznać Napoleona za istotę nadprzyrodzoną. Ulegając z pewnem zdziwieniem ogólnemu prądowi, te poczciwe ludy szczerze starały się uwierzyć w narzucone im przymusowo zewnętrzne objawy nieistniejących uczuć.

Tłumnie ciśnięto się wzdłuż drogi, którą przebywał cesarz. Książęta opuszczali stolice swoje, wypełniając po brzegi miasta, w których zatrzymać się miał, choćby tylko na krótko, przepotężny arbiter wspólnych ich losów. Cesarzowa towarzyszyła Napoleonowi wraz z licznym dworem. Barwny ten i świetny pochód przypominał raczej tryumfalny powrót zwycięzcy, aniżeli wędrówkę ku niepewnej przyszłości, ku dalekim i straszliwym pobojom rozstrzygającej walki. Nie w ten sposób Napoleon gotował się był niegdyś do boju.

Życzenie jego, iżby cesarz austriacki, kilku królów i liczni udzielnicy książęta powitali go w Dreźnie, spełnione zostało w zupełności; przybyli wszyscy, bądź to z wyrachowania, bądź

też z obawy; jedyną zaś pobudką, która kierowała Napoleonem, była chęć upewnienia się o swojej wszechmocy i zadokumentowania jej w oczach Europy.

Dzięki spowinowaceniom ze starożytnym domem Habsburgów, zjazd ten przybrał niejako cechy uroczystości rodzinnej. Sądził Napoleon, że świetność tego zjazdu stanowić będzie rażąca sprzeczność z osamotnieniem cara, który być może zleknie się swego opuszczenia. Że nadto, obecność w Dreźnie sprzymierzonych monarchów upewni Europę, iż zamierzona wojna jest istotnie wojną ogólnoeuropejską.

Tam więc—w centrum Niemiec—zatrzymał się nieco dłużej z małżonką swoją—córką cesarskiego rodu—i licznym dworem. Na wieść o jego przybyciu, zbiegły się zewsząd nieprzebrane tłumy: magnaci i nędzarze, szlachta i lud, przyjaciele i wrogowie. Ruchoma ludzka fala zalala drogi, ulice i place. Z namiętnym uporem, ze wzrokiem utkwionym w okna i wieże królewskiego pałacu, wyczekiwano dniem i nocą ukazania się przelotnej, a niezapomnianej wizyi. Niczem był dla tego tłumu olśniewający blask korony cesarskiej, niczem świetność i przepych dworu i generalicyi. Napoleona jedynie chciano oglądać, by zapamiętać na zawsze nieprzeniknione jego oblicze, by mózgi później opowiadać o nim mniej szczęśliwym rodakom, dzieciom i wnukom.

Poeci czynili zeń pół-boga; ludy całe składały korny hołd geniuszowi jego i potędze.

Bardziej jeszcze zdumiewający widok przedstawiały antykamery cesarskie. Na równi z in-

nemi, czekały na audyencyę ukoronowane głowy, widniejące tu i ówdzie wśród barwnej mozaiki wojskowych mundurów, a tak dziwnie zmalale, z takim dworactwem chylące się za każdym skrzygnięciem drzwi do gabinetu Napoleona, że nieraz oficerowie musieli przestrzegać się wzajemnie, by nie urazić mimowoli tych niezwykłych pochlebców. Obecność Napoleona, przewaga jego nad wszystkim i wszystkimi — niwelowała wszelkie różnice. Być może, iż źle hamowana buta wojskowa niektórych naszych generałów zraziła wówczas obecnych w Dreźnie królów i książąt; nie należy jednak zapominać o tem, że zwycięzca zawsze równy jest zwyciężonemu, bez względu na dostojność jego i znakomite pochodzenie.

Tymczasem rozważniejsze jednostki przyglądały się z pewnem zaniepokojeniem temu osobliwemu widowisku. Szeptano po cichu, że tylko nadprzyrodzona istota mogła bezkarnie wszystko zmieniać i przekształcać; że jadem nienawiści dławili się już ci sami monarchowie, którzy niedawno najuniższej zapewniali Napoleona o niezmiennej swojej życzliwości; że poufne, nocne narady z ministrami i zausznikami niejednokrotnie przeplatane były objawami żalu i oburzenia. Każdy, najdrobniejszy nawet szczegół, zwiększał rozgorczenie. Jakżeż natrętnym wydawał się tym królom i książętom tłum, otaczający zwartem koliskiem pałac Napoleona, podczas gdy własne ich rezydencje opustoszałe były i samotne, gdy odbieżeli ich wszyscy, własne nawet ludy! Przyjazd ich do Dreznia zwiększył jeno wpływ i urok Napoleona, uwydatnił świetność gwiazdy cesarskiej:

każdy okrzyk uwielbienia i podziwu dla cesarza dźwięczał dla nich złowrogo — przypominając własną niemoc, własną porażkę i poniżenie.

Z dniem każdym rosła tedy zawiść, wzma- gała się niechęć. Niebawem pod najbliższym pozorem wyjechał jeden z dostojnych uczestni- ków zjazdu, nie mogąc znieść już dłużej niewy- powiedzianie przykrej dla niego sytuacji. Wśród pozostałych, szczególną nienawiścią — nieumie- jętnie skrywaną — odznaczała się cesarzowa austriacka, wnuczka księżęcia, zdetronizowanego niegdyś we Włoszech przez generała Bonaparte- go. Napoleon z uśmiechem na ustach, zręcznie rozbrajał uroczego przeciwnika, niemniej jednak wdzięk i dowcip cesarzowej jednał jej coraz wię- cej zwolenników, coraz szerzej rozpleniał rzuco- ny drobną dłonią posiew niechęci i zawiści.

Marya-Ludwika przyczyniła się również mi- mowoli do zaostrenia już i tak naprężonych sto- sunków. Przepychem toalet i klejnotów starała się zaćmić wszystkie inne panie, co wzbudziło iście kobiecą zazdrość w sercu jej macochy, a jakkolwiek Napoleon nieraz skłaniał żonę do pewnych w tym kierunku ograniczeń, ostatecznie ustępował zawsze wobec próśb a nawet i lez. Pozatem, jakgdyby zapominając o własnej naro- dowości, Marya-Ludwika kilkakrotnie zraniła po- podobno miłość własną Niemców, przez nietaktowne porównywanie losów swojej dawnej i obecnej ojczyzny; Napoleon strofował ją z obowiązku ra- czej, aniżeli z przekonania: w głębi duszy cieszył się bowiem z uczuć patryotycznych cesarzowej,

a sutymi darami — pozornie przynajmniej — okupywał popełnione przez nią błędy.

Jedynym zatem rezultatem tego zjazdu była ogólna niechęć i rozgoryczenie. Napoleon tymczasem — czekając najspokojniej na ostatnie oddziały olbrzymiej swojej armii, która przejść miała przez terytoryum mocarstw sprzymierzonych—zajmował się ze szczególnem zainteresowaniem sprawami bieżącej polityki.

General Lauriston, ambasador francuski przy dworze petersburskim, otrzymał rozkaz przedstawienia carowi decydujących propozycji. General Narbonne, adjutant Napoleona, udał się do Wilna do głównej kwatery rosyjskiej, aby zapewnić Aleksandra o pokojowych zamiarach Francyi i, jak fama niesie, ściągnąć go do Drezna. Jednemu z ksiąząt kościoła, głowie episkopatu w Malines, powierzono dyrektywę nad patryotycznymi porywami Polaków. Królowi Saskiemu, który lękał się utraty Wielkopolski, obiecana została sowita nagroda.

Dziwiono się wszelako i gorszono niepomniernie nieobecnością króla pruskiego na dworze cesarskim. Wkrótce jednak rozeszła się pogłoska o właściwej przyczynie tej nieobecności, przyczynie, którą miał być niemal, że wyraźny zakaz cesarza. Wobec grożącej mu niełaski, ulegając namowom jenerała Narbonne, Fryderyk przybył niebawem do Drezna. W pierwszej chwili, Napoleon—zirytowany—wzdragał się go przyjąć, lecz na skutek perswazyi Duroc'a, który przypomniał cesarzowi konieczność pozyskania sobie Prus prze-

ciw Rosyi, otwały się gościnne bramy cesarskiego pałacu. Król pruski przyjęty został z wszystkimi, należnymi mu honorami. Wysłuchano łaskawie zapewnień jego o niezmiennej życzliwości i szczerem poświęceniu, którego dowody dał w rzeczy samej niejednokrotnie.

Podobno obiecano mu wówczas w zamian inwestyturę rosyjskich prowincyi nadbałtyckich, które okupować miały wojska pruskie. Nadto Napoleon miał, jakoby, zgodzić się na projekt małżeństwa jednej ze swoich siostrzenic z pruskim następcą tronu. Miało to być nagrodą za usługi, oddane przez Prusy w ciągu zamierzonej wojny. Tym sposobem, Fryderyk — jako aliant Napoleona — mógł utrzymać się przy władzy. Brak skądinąd dowodów, któreby stwierdzały, że koligacya z rodziną cesarza była istotnie równie pożądana dla króla pruskiego jak niegdyś dla następcy tronu hiszpańskiego.

Napoleon wszakże wyczekiwał jeszcze na rezultat negocyacyi Lauriston'a i Narbonne'a. Łudził się nadzieją, że pokona i zjedna sobie Aleksandra grozą niezwyciężonej dotychczas armii swojej i urokiem świetnego zjazdu drezdeńskiego. Kilka dni później, w Poznaniu, zwierzył się niejako z tych złudzeń generałowi Dessoles: „Skoro zjazd drezdeński nie skłonił Aleksandra do zawarcia pokoju, skłoni go do tego wojna“.

Preliminarya te i pertraktacye były w gruncie rzeczy nietyle usiłowaniem zawarcia pokoju, ile raczej podstępem wojennym. Napoleon pragnął albo uspić czujność Rosyan i doczekać się dyslokacyi pułków rosyjskich — a wtedy zgnieść

je i rozbić doszczętnie; albo też rozdmuchać butę i zarozumiałość armii carskiej i odrazu dojść do walnej rozprawy, której wyniki żadnych nie przedstawiały wątpliwości wobec znacznej przewagi sił francuskich. Tak w jednym jak i drugim wypadku — drogą zwycięstwa czy też podstępny — wojna byłaby wnet ukończona. Lecz misja Lauriston'a spelzła na niczem, a Narbonne zgola nieoczekiwane przyniósł wieści: „Nie zauważyłem w obozie rosyjskim — mówił jeneral — ani przygnębienia, ani też czczej fanfaronady. Z audyencji u cara wywnioskowałem, że Rosya godzi się raczej na wojnę, aniżeli na haniebny pokój; że Rosyanie unikać będą rozstrzygającej bitwy z równie groźnym przeciwnikiem, że naród cały gotów jest do najcięższych ofiar, aby tylko wojnę przedłużyć i zniechęcić do niej Napoleona“.

Cesarz — w owej chwili u szczytu potęgi i sławy — lekce sobie ważył zawartą w tej odpowiedzi przestrozę. Jeśli mam być zupełnie szczerym, dodać muszę, iż pewien magnat rosyjski przyczynił się również niemało do ugruntowania mylnych zapatrywań Napoleona; bądź to nieświadomie, na podstawie błędnych informacji, bądź też rozmyślnie — upewnił cesarza, że Aleksander łatwo upadał na duchu, że cofał się przed lada przeciwnością. Na nieszczęście, wspomnienie licznych ustępstw cara w Tylży i Erfurcie utwierdziło jeno Napoleona w fałszywym tem mniemaniu.

Pobyty w Dreźnie przeciągnął się do 29-go maja.

W końcu, znudzony holdami Niemców, prag-

nać corychlej rozpocząć wojnę, Napoleon z Drezna udał się do Poznania, gdzie witali go najwybitniejsi przedstawiciele narodu polskiego; stamtąd podążył zaś nie do Warszawy, która w danym momencie leżała poza głównym terenem zamierzonej akcji, lecz do Torunia, w celu obejrzenia fortyfikacyi, magazynów i załogi. W Toruniu ozwały się po raz pierwszy skargi miejscowej ludności polskiej, niemiłosiernie ograbianej i łzonej przez naszych aliantów. Napoleon nie szczędził królowi westfalskiemu nagany, a nawet i pogróżek. Lecz zarówno nagana jak i pogróżki ginęły bez echa wśród chaotycznej wrzawy nieprzebranego mrowia ludzkiego; zresztą wybuchy gniewu cesarza były zazwyczaj krótkotrwałe; ochłonawszy, żałował zawsze uniesienia, i z właściwą sobie dobrocią, niejednokrotnie starał się nagrodzić wyrządzoną przykrość; przytem — sam ponosił do pewnego stopnia odpowiedzialność za nieład i nadużycia, gdyż, o ile zapasy żywności obfite były i doskonale rozlokowane na przestrzeni między Odrą, Wisłą i Niemnem, o tyle dotkliwie odczuwano brak paszy i furazu. Już w owym czasie kawalerya nasza zmuszona była kosić zielone żyta i zrywać z dachów strzechy, aby wyżywić jako tako konie. Co prawda nie wszystkie pułki na tem poprzestały; skoro jednak dozwolono na jedno nadużycie, w jakiż sposób zapobiedz innym?

Opuściwszy Toruń, Napoleon jechał brzegiem Wisły, na Grudziądz i Marienburg. Ponieważ Grudziądz ważny był jako jedna z warowniejszych a nie oddanych do dyspozycyi Francuzów fortec

pruskich, przeto cesarz wysłał oficera artylerii z kilkunastu puszkarzami, rzekomo dla robienia naboju, w rzeczy samej zaś, w innym zupełnie, tajemnym celu. Ekspedycja spełzła wszakże na niczem, wobec niezwyklej czujności licznej załogi.

W Marienburgu powitał cesarza marszałek Davout. Bądź to przez pychę, bądź też z innych pobudek, marszałek nie uznawał nad sobą nikogo, prócz Napoleona. Wyjątkowo wytrwały i uparty, o silnej, nieugiętej woli, nie znosił żadnego zwierzchnictwa, żadnej zależności, niczym nie podlegał wpływom. W r. 1809, Davout, pozostający wówczas chwilowo pod dowództwem Berthier'a—wygrał bitwę i ocalił armię, tylko dzięki temu, iż nie usłuchał rozkazów swego wodza. Stąd śmiertelna nienawiść, wzrastająca w dniach pokoju nieustannie, lecz bez zewnętrznych objawów, dla tej prostej przyczyny, że Berthier mieszkał wtedy w Paryżu a Davout w Hamburgu. Otóż kompania rosyjska postawiła oko w oko obu przeciwników.

Znękany dwudziestu latami nieustannej pracy, Berthier starzał się już widocznie i słabł z dniem każdym. Począwszy od roku 1805, wstręt budziła w nim wszelka wojna. Militarny talent jego polegał głównie na niez mordowanej pracowitości i niezwyklej pamięci. Nie myląc się nigdy, mógł odbierać i rozsyłać—o każdej porze dnia i nocy—najróżnorodniejsze wieści i rozkazy. Lecz w danym wypadku sądził, iż przysługuje mu prawo wydawania rozkazów samodzielnych. To zachowanie się Berthier'a dotknęło i uraziło Davout'a.

Przy pierwszym tedy spotkaniu się, w obecności cesarza, który dopiero co przybył do Marienburga, doszło pomiędzy nimi do gwałtownej sprzeczki.

W uniesieniu Davout nie cofnął się nawet przed zarzutami nieudolności i zdrady. Padły obelżywe słowa. A gdy Berthier wyszedł, Napoleon — ulegając mimowoli podejrzliwym insynuacyom marszałka — zawołał: „Zdarza mi się niekiedy wątpić o wierności najdawniejszych moich towarzyszków broni; wówczas jednak takim żalem ściska mi się serce, że odpycham czempredzej te bolesne myśli“.

Podczas kiedy Davout nieopatrznie rozkoszował się poniżeniem swego przeciwnika, cesarz podążał ku Gdańsku wraz z palającym zemstą Berthier'em. Od tej chwili datuje się niepomysłny zwrot w karierze Davout'a, wbrew poświęceniu jego, niezaprzeczonej sławie i oddanym czasom tej wojny usługom. Mściwe intrygi Berthier'a; niczem nieusprawiedliwione faworyzowanie Murat'a, którego zuchwałość większe rokowała mu nadzieje; zepchnięcie na podrzędne stanowisko istotnie mężnego i rozumnego wodza; cała ta małostkowość, jadem prywaty zaprawna, zgubne wydać miała owoce. Napoleon wszelako nie martwił się, ani też nie gorszył tem współzawodnictwem swoich marszałków; zbytnia jedność byłaby go raczej niepokoiła.

12-go czerwca cesarz wyruszył z Gdańska do Królewca. W Królewcu, który był drugim punktem zbornym armii francuskiej, ukończona wreszcie została uciążliwa inspekcya olbrzymich

magazynów, zawierających nieprzebrane wprost zapasy żywności, broni i mundurów. Nie zaniebano niczego, aż do najdrobniejszych nawet szczegółów. Twórczy geniusz Napoleona skupił się wtedy całkowicie nad tą jedną, niezmiernie ważną i bodaj czy nie najtrudniejszą częścią przygotowań wojennych. Nie szczędził ani szczegółowych zleceń, ani rozkazów, ani pieniędzy; godzinami całemi, dniem i nocą dyktował odnośne instrukcje. W ciągu jednego tylko dnia pewien generał otrzymał z kancelaryi cesarskiej aż sześć depesz, tego samego tyczących się przedmiotu.

Między innemi, podkreślić należy następujące zdanie tekstu: „Wobec ogromu armii, zbraknąć musi koni, jeśli nie zostaną przedsięwzięte należyte ostrożności“. Dalej zaś: „Wszystkie furgony, prócz tych, które potrzebne są przy ambulansach, powinny być zużytkowane do przewozu mąki, chleba, ryżu, jarzyn i wódki. Wynikiem dotychczasowej mojej akcji będzie zgromadzenie w jednym punkcie czterystu tysięcy ludzi. Wówczas zaś nie możemy liczyć na mieszkańców danej okolicy, jeno na siebie i na własne zaprowiantowanie“. Zawiodły jednak wszelkie rachuby: zbrakło wkrótce środków przewozu, a i cesarz sam dał się niebawem unieść własnemu zapalnemu temperamentowi.

I.

Przejście Niemna.

Napoleon skoncentrował wojska swoje w Polsce i Prusiech Wschodnich, między Królewcem i Gąbinem. Pod koniec wiosny r. 1812 odbył przegląd niektórych korpusów. Przemowy jego do żołnierzy wesole były, częstokroć szorstkie i rubaszne; wiedział bowiem dobrze, że w stosunku do tych prostych, a jak stał hartownych ludzi, szorstkość jest szczerością, rubaszność—siłą, wyniosłość — pańskością; że przeciwnie, salonowe formy i wykwint obejścia uważane są przez nich jako objawy płochości i zniewieściałości; że miodowe słówka brzmią w ich uszach, jak obca — równocześnie niezrozumiała i śmieszna gwara.

Przyjętym przez się zwyczajem, pieszo obchodzi szeregi. Pamięta doskonale kiedy i w jakich kampaniach brał udział każdy pułk. Interpeluje najstarszych żołnierzy, przypominając im ubiegłe lata: Piramidy, Marengo, Austerlitz, Jenę, Friedland. Ze wspomnieniem łączy niekiedy szor-

stką pieśczołę, a stary wiarus — wzruszony, pijany dumą, spogląda z góry na młodszych, mniej zasłużonych kamratów!

Napoleon zaś idzie dalej, nie pomijając nikogo, aż do najmłodszych rekrutów, którym szczególne okazuje zainteresowanie; znane mu są najdrobniejsze ich potrzeby; z iście ojcowską troskliwością wypytuje się o wszystko: o żołd i zwierzchników, o pożywienie i ubranie; przegląda nawet zawartość ich tornistrów.

Dotarłszy wreszcie do środkowych szeregów—informuje się o stanie listy służbowej i o najgodniejszych kandydatach na wakujące stopnie. Sam wypytuje kandydatów: ile lat służby? ile odbytych kampanii? wiele razy ranny? gdzie odznaczył się? Poczem niezwłocznie mianuje ich oficerami, asystując osobiście przy odnośnych formalnościach. Wszystko to podnosi jego urok i zjednywa mu serca żołnierzy. Szorstkie głosy szepcą wśród szeregów, że ten mocarz nad mocarzami, który całą ujarzmił Europę i wszystkim ludom przewodzi, interesuje się dobrotliwie każdą drobnostką, losu żołnierzy dotyczącą; że jest dla nich ojcem i tak jak ojciec czuwa nad dźiatwą swoją. W ten sposób powstał kult wojny i sławy, i bałwochwalcza cześć dla osoby cesarza!

Tymczasem, armia posuwała się od Wisły ku Niemnu.

Sięgaliśmy już granicy rosyjskiej. Armia cała rozciągnięta była wzdłuż Niemna, na znacznej przestrzeni. Najpierw, na skraju prawego skrzydła, trzydziestoczwartotysięczny korpus Austriaków Szwarzenberga, który przybył tu z Galicyi

przez Drohiczyn; na lewym jego flanku, idący od Warszawy na Białystok i Grodno — korpus króla westfalskiego, złożony z siedemdziesięciu dziewięciu tysięcy dwustu Westfalczyków, Saksończyków i Polaków; obok niego, w pobliżu Maryampola i Pilonów, stał wice-król włoski na czele siedemdziesięciu dziewięciu tysięcy pięciuset Bawarczyków, Włochów i Francuzów; dalej jeszcze — sam cesarz i dwieście tysięcy ludzi pod dowództwem króla neapolitańskiego, ks. Eckmühl, ks. Gdańskiego, książąt: Istrii, Reggio i Elchingen. Przybyłe z Torunia, z Marienwerder i z Elbląga korpusy te zeszyły się 23-go czerwca nieopodal Nogaryska, o milę powyżej Kowna. Na skraju lewego skrzydła, wprost Tylży, stał korpus Macdonald'a, trzydzieści dwa tysiące pięciuset ludzi — Prusaków, Bawarczyków i Polaków.

Wszystko było w pogotowiu. Od brzegów Gwadalkwiwiru i zatoki Kalabryjskiej aż po Wisłę ściągnięto sześćkroć siedemnaście tysięcy ludzi, z których czterysta osiemdziesiąt tysięcy stało już wzdłuż linii nadniemeńskiej; prócz tego — sześć kompletnych ekwipaży pontonowych, z których jeden obłęźniczy; kilkanaście tysięcy wozów z żywnością; nieprzeliczone stada wołów; tysiąc trzysta siedemdziesiąt dwa dział, oraz mnóstwo jaszczyków z amunicją i furgonów ambulansowych.

Wielka armia dążyła tedy ku Niemnu trzema oddzielnymi partjami.

Król westfalski, na czele ośmiudziesięciu tysięcy ludzi, posuwał się ku Grodnu; wice-król włoski, z sześćdziesięcioletnim korpusem — ku Pilonom; Napoleon — z dwustu tysiącami lu-

dzi — ku Nogarysku, folwarkowi położonemu o milę powyżej Kowna. 23-go czerwca kolumna cesarska doszła przed świtem do Niemna, który w tem miejscu krył się wśród wzgórz i gęstego pilwiskiego lasu.

O godzinie 2-ej z rana, Napoleon, jadący dotąd powozem, dosiadł konia. Pięć miesięcy później, nocą również — lecz znękany, zwyciężony — przepłynąć miał znów tę samą pamiętną rzekę. Owóż, gdy dojeżdżał do Niemna, koń nagle zwinął się pod nim i wysadził go z siodła. Jakiś głos zawołał: „Zła to wróżba; Rzymianin cofnąłby się!” — Niewiadomo, kto wyrzekł te słowa: sam cesarz, czy też ktoś ze świty cesarskiej.

Ukończywszy rekonesans, wydał rozkaz, dotyczący się budowy mostów: nazajutrz, o zmierzchu, trzy mosty stanąć miały w pobliżu wsi Ponienien. Resztę dnia spędził cesarz w swojej kwaterze, bądź to w namiocie, bądź też pod gościnnym dachem polskiego dworku, szukając napróżno spoczynku, zgorączkowany, znużony niewywczasem i niezwykłym upałem.

Z nadejściem nocy skierował się znów nad rzekę. Najpierw przeprowiło się łódką kilku saperów. Zdziwieni panującą dookoła ciszą, wylądowali na rosyjskim brzegu bez żadnej przeszkody. Z tej strony Niemna wszystko spokojne było, w mrokach nocy spowite, cichym uśpione snem. Po chwili dopiero zjawił się młody oficer kozacki, dowodzący nadbrzeżnym patrolem. Zjawił się samotrzeć, jakgdyby nieświadom tego, iż tam — za rzeką — stoją w bojowym szyku nieprzebrane

hufce wszystkich niemal ludów Europy. „Kto idzie?” — zapytał. „Francuzi” — brzmiała odpowiedź. „Czego chcecie? w jakim celu przekroczyliście granicę?” — „Czego chcemy?... Bić się z wami!.. Zająć Wilno!.. oswobodzić Polskę!” — krzyknął jeden z saperów. Kozak zawrócił konia i znikł wkrótce w leśnej gęstwinie. Wówczas — uniesieni zapalem, trzej nasi żołnierze zdjęli z ramion karabiny. Huknęły trzy strzały... Huknęły i umilkły...

A słabe ich echo było jedyną zapowiedzią rozpoczynającej się — nieszczęsnej a wiekopomnej kampanii.

To pierwsze hasło bojowe zirykowało mocno cesarza. Skarcił surowo niewczesny wybryk żołnierzy. Trudno nam wszakże dociec, jakie pobudki kierowały nim: przezorność, czy też zło-wieszczce przeczucie.

Natychmiast trzystu wołyżerów przepравиło się przez rzekę dla ochrony mostów. Wówczas z lasu i z wąwozów wysunęły się równocześnie wszystkie kolumny francuskie. Szły w milczeniu, groźne, nieugięte, pod osłoną ciemnej nocy. Zakazano rozpalania ognisk, niecenia najdrobniejszych nawet światełek. Nad samą już rzeką pulki stanęły. Odpoczywano z bronią w ręku, jak w przededniu bitwy. Mokre od rosy, żytnie i pszeniczne łany — łożem były dla ludzi, strawą dla koni.

Przenikliwy chłód dobiegającej końca nocy letniej, cisza i mrok, który smutkiem zasnuwa dusze ludzkie, wreszcie bliskość niebezpieczeństwa — wszystko to wzmagало ponury nastrój*

Otuchy dodawała jedynie nadzieja zwycięstwa. Szeptem powtarzano sobie najcelniejsze urywki ostatniej proklamacyi Napoleona, a geniusz wojny płomiennem swoim tchnieniem rozpałał wszystkie wyobraźnie!

Przed nami leżała granica rosyjska, cel długiej i uciążliwej wędrówki, a za nią kraina, której podbój okryć nas miał nieśmiertelną chwałą. Zgórączkowane mózgi snuły barwną przędzę marzeń. Zdawało nam się, że słyszymy już radosne okrzyki Litwinów; że widzimy za rzeką tysiące błagalnie wyciągniętych ku nam dłoni, tysiące źrenic — płomiennych a łzawych; zdawało nam się, że naszem są już wszystkie serca tego gnębionego ludu, że pod każdą strzechą czekają na nas z serdeczną a głęboką wdzięcznością. Czemżeż był wobec tego trud bezsennej nocy?... Niebawem oto zbudzić się miał dzień, a wraz z nim wszystkie jego uroki. — Lecz światło dzienne ukazało nam pustą jeno, piaszczystą wydmę i posępne, liściastym gąszczem podszyte lasy. Wtedy oczy nasze spoczęły ze smutkiem na znużonych postaciach kamratów, na stratowanych łańach i zdeptanej trawie. Wrótce jednak imponujący widok olbrzymiej naszej armii nową pokrzepił nas otuchą.

W odległości trzystu kroków od rzeki — na najwyższym pagórku, bielił się namiot cesarza. Dookoła zaś wszystkie wzgórza, stoki pagórków, jary i wąwozy zalane były ruchomą falą ludzi i koni. Gdy błysnęły pierwsze promienie słoneczne, ozwały się trąbki i trzy olbrzymie kolumny ruszyły ku trzem mostom. Jak potworne cielska ogromnych wężów — wily się i pełzały

pośród niewielkiej piaszczystej równiny, poprzedzającej właściwe wybrzeże, coraz bliżej rzeki i mostów; niebawem glucho zadudniły deski, a po chwili pierwsze szeregi rozwijały się już na tej obcej ziemi, którą początkowo zagarnąć miały i spustoszyć, a następnie zasłać własnymi, krwawymi szczątkami.

Tak wielki był zapal, że doszło niemal do utarczki między dwiema dywizjami przednich straży, które usiłowały jednocześnie dostać się na przeciwny brzeg. Z trudem zdołano zaledwie uśmierzyć wzburzonych żołnierzy. Napoleon pośpieszył również stanąć na terytorium rosyjskiem. Bez lęku ani też wahania stawał ten pierwszy krok na drodze prowadzącej do zguby. Początkowo nawet osobiście doglądał przeprawy, obecnością swoją zagrzewając żołnierzy. Witano go zwykłym, entuzjastycznym okrzykiem. Iskrzyły się wszystkie oczy, płonęły lica. A cesarz stał zadumany i patrzył na przelewające się mrowie ludzkie... Może w owej chwili padł mu na duszę mroczny cień zwątpienia; może dziwił się jeno, iż nic więcej nie ma już do zdobycia; lub też poprostu może osłabł chwilowo, zmożony bezsennością i upałem.

Wreszcie—zniecierpliwiony — ściągnął cugle i pomknął jak wiatr wąską leśną drożyną. Milę przeszło jechał lasem, wśród niezmaconej ciszy i zupełnej samotności. W końcu zawrócił znów ku rzece i brzegiem Niemna podążył wraz z gwardią ku Kownu.

Głuchy huk wstrząsnął nagle powietrzem. Idąc, nasłuchiwałem w której stronie rozpoczy-

nała się bitwa. Lecz z wyjątkiem luźnych oddziałów kozackich, zarówno tego dnia, jak i następnych, walczyły z nami jedynie żywioly. Za ledwie bowiem cesarz przepawił się przez rzekę — kędyś, daleko, zahuczał grom. Niebawem ściemniło się; zawyła wichura. Otaczająca nas pustka i brzemienne czarnymi chmurami niebo — posepny wytwarzały nastrój. Najwięksi nawet zapaleńcy spoglądali z zabobonną trwogą na zbliżającą się nawałnicę. Zdawało się, że z łona rozdzielanych błyskawicami chmur — ogniste węże spadały na ziemię jakgdyby broniąc ją przed naszym najazdem.

W ciągu kilku godzin, na przestrzeni pięćdziesięciu mil nadciągały zewsząd czarne i gęste chmury, sinawym mrokiem powlekając wystraszone tłumy. Wkrótce rozpętały się żywioly. Niebo prażyło ogniem, a chłostało ulewą. Woda pozalewała drogi i pola; straszliwy upał przemienił się nagle w niemiły, przejmujący chłód. Padło wtedy dziesięć tysięcy koni, częściowo podczas marszu, głównie zaś na postojach. Wzdłuż piaszczystego wybrzeża porzucono mnóstwo wozów. Dzień ten wielu ludzi przypląciło zdrowiem, a nawet i życiem.

Na początku burzy, cesarz schronił się do pobliskiego klasztoru. Wkrótce jednak ruszył dalej, ku Kownu, gdzie panował zupełny bezład i rozprzężenie. Błyskawice i pioruny nie przstraszały już nikogo nie zwracano na nie żadnej uwagi. Jeśli burza — zwykle o tej porze zjawisko — zatworzyła nieliczne jednostki, ogół natomiast zachowywał się obojętnie. Powszechna niewiara — bądź to wyrozumowana, bądź też prostacka i bez-

myślna, gwałtowne żądze i namiętności, wzrastająca coraz bardziej ilość nieodzownych potrzeb, wszystko to oddalało duszę ludzką od nieba, kolebki jej i ostatniego przytułku. To też straszliwa owa burza na nikim właściwie nie wywarła głębszego wrażenia; zapatrywano się na nią jedynie, jako na niefortunny przypadek, względnie na powód do gniewu przeciw niebiosom, które tą drogą ostrzegały wówczas — świadomie, czy nieświadomie — przed niedolą i przed okropnością gniewu bożego.

Tegoż dnia zdarzył się w łonie armii nader smutny wypadek. Opodal Kowna, Kozacy zburzyli na Wilji most, uniemożliwiając tem samem przejście korpusowi Oudinot'a. Napoleon — zirytowany nieoczekiwaną przeszkodą, lekceważąc ją tak, jak lekcewał wszystko, co stawało mu na zawadzie, rozkazał szwadronowi Polaków przebyć w pław rzekę. Bez wahania wskoczyli dzielni żołnierze w spienione nurty.

Początkowo płynęli szeregami, niebawem jednak — na głębinię — zniosła ich fala. Przestraszone konie, szarpiąc się, usiłowały napróżno walczyć z wartkim prądem. Jeźdźcy dobywali ostatka sił, by dopłynąć i rozkaz spełnić, lecz wkrótce i oni również zanurzali się coraz bardziej, coraz widoczniej szli na dno. Nieuchronną była ich zguba, pewną — śmierć, lecz że na ojczyjstę ginęli ziemi, za sprawę wspólnej Matki, za jej zbawcę, więc, zwróciwszy nadludzkim wysiłkiem poblądle głowy w stronę Napoleona, z okrzykiem: Niech żyje cesarz! — zniknęli pod wodą. Trzej zwłaszcza okrzyk ten powtórzyli kilkakrotnie, nim pochłonęła

ich wzburzona topiel. Tysiące oczu, rozwartych grozą i uwielbieniem, spoglądało na ten bohaterski zgon!

Co się tyczy Napoleona, to wydał wprawdzie z całą precyzją odpowiednie polecenia i zarządził akcyę ratunkową, nie znać było jednak na nim żadnego wzruszenia: bądź to dzięki umiejętnemu panowaniu nad sobą; bądź to, iż podczas wojny uważał wszelkie wzruszenia za karygodny objaw słabości; bądź też wreszcie, że przewidywał większe nieszczęścia, wobec których niczem była utrata jednego szwadronu.

Z Kowna, w przeciągu dwóch dni, dotarł Napoleon do wąwozów, okalających w pewnej odległości Wilno. Lada chwila spodziewał się wiadomości od przednich straży. Sądził, iż Aleksander bronić będzie odwiecznej stolicy Litwy i cieszył się nadzieją walki i zwycięstwa. Lecz wbrew rachubom i życzeniu cesarza — bramy Wilna były otwarte. Rozczarowany i chmurny, nie szczędził nikomu wymówek; oskarżał swoich generałów o rozmyślne wypuszczenie z pułapki armii rosyjskiej; w uniesieniu, nie wahał się grozić nawet jednemu z nich, dzielnemu Montbrun'owi. Zarówno gniew ten, jak groźby, które zresztą nie pociągnęły za sobą żadnych skutków, w stosunku do Napoleona godne są raczej uwagi, aniżeli potępienia, stwierdzają bowiem niezbiecnie jak wielką wagę przywiązywał cesarz do rychłego zwycięstwa.

Mimo gniewu, cesarz zajął się osobiście ceremoniałem wjazdu do Wilna: na czele i na tyłach armii szły pułki polskie. Bardziej jednak poruszony nagłym odwrotem Rosyan, aniżeli obja-

wami radości i wdzięczności Litwinów, szybko przejechał przez miasto, kierując się czemprowadzej ku przednim strażom.

Skoro armia rosyjska cofnęła się wstecz, trzeba było podążyć jej śladem.

II.

Bitwa pod Ostrownem, wzięcie Witebska i Smoleńska, bitwy pod Walutyną, Połockiem i Wiaźmą.

Począwszy od Niemna, armia nasza nie ustawała w pościgu za Rosyanami. 25-go lipca Murat podążył na czele swojej jazdy ku Ostrownu. O dwie mile od tej wioski, szerokim traktem — brzozami ocienionym, jechał rażno 8-my pułk huzarów pod dowództwem oficerów: Domon'a, du Cœtlosquet'a i Carignan'a. Droga wiodła na szczyt pobliskiego wzgórza, na którym stał, w części tylko widny, korpus nierzyjacielski, złożony z trzech gwardyjskich pułków kawalerii i z sześciu dział. Linia rosyjska całkowicie była odsłonięta.

Oficerowie 8-go pułku sądzili, iż poprzedzani są przez dwa regimenty tejże samej dywizji, maszerujące na przelaj polami z prawej i z lewej strony drogi, a zasłonięte pniami i gałęzmi brzoź. Lecz w ciągu marszu oba te oddziały stanęły, 8-my zaś pułk, który poprzednio już znacznie był naprzód wysunięty, oddalał się coraz bardziej, mniemając, że widniejące w odległości stu pięć-

dziesięciu kroków szeregi — są szeregami bra-
tnimi.

Nieruchomość Rosyan podtrzymała złudze-
nie. Skądinąd wyraźnym był rozkaz atakowania.
Obawiając się tedy pomyłki, wysłano na zwiady
oficera, a pułk najspokojniej jechał dalej. Wtem
nagle huknęły strzały, zwałił się z konia oficer
i kilku z pośród towarzyszących mu żołnierzy.
Nie wahając się już dłużej, morderczym prażony
ogniem, pułk pognał w cwał na baterię. Strato-
wano i wybito kanonierów, zabrano działa, rozpo-
sząc na szablach centrum linii nieprzyjacielskiej.
Poczem, nie zwlekając, uderzyli huzarzy na
drugi pułk, który tworzył prawe skrzydło rosyjskie.
A gdy popłoch wszczął się wśród Rosyan, gdy
trzeci pułk — wylękły — cofać się zaczął z pola
bitwy, ozwały się znów trąbki. Pod kopytami
końskimi jęknęła ziemia i niebawem zostały na
pobojowisku jeno niedobitki, trupy i ranni.

Zachęcony pomyślnym wynikiem walki, Mu-
rat przyparł nieprzyjaciela do lasów ostrownickich,
lecz gdy podążać chciał jego śladem, nieoczeki-
wany napotkał opór.

Pod każdym względem Ostrowno znakomitą
była pozycją. Wieś leżała przy trakcie, na wzgó-
rzu, lasem porośłym. Z lewej strony ciągnął
się rozległy i gęsty bór, z prawej — Dźwina;
z frontu bronił dostępu głęboki parów. Nieopodal
zresztą wznosiły się cenne dla Rosyan magazyny,
a trakt prowadził do Witebska, stolicy tej połaci
kraju. Czempredziej też nadciągnął do Ostrowna
Osterman ze swoim korpusem.

Tymczasem, Murat — równie waleczny dzisiaj, jak i niegdyś, równie nieopatrzenie narażający własne życie — postanowił za wszelką cenę przełamać opór nieprzyjaciela i zdobyć las, ustawicznie ogniem ziejący. Lecz niebawem zrozumiał, że walka długa będzie i zawzięta. Rosyane atakowali z kolei pozycję, zajęłą początkowo przez 8-my pułk huzarów; z konieczności zatem czoło kolumny francuskiej, składające się z dywizji Bruyères'a, i Saint-Germain'a 8-my pułk piechoty, odpierać musiało całą armię nieprzyjacielską.

Broniono się tak, jak zwykli bronić się zwycięzcy — atakując. Napróżno wysuwały się z lasu, szarżujące rzekomo, korpusy nieprzyjacielskie: kawalerya musiała wnet cofać się pod osłonę drzew; piechota, szabłami rąbana, uciekała w popłochu. Znużenie ogarniało już wszakże nasze pułki, gdy nadciągnęła dywizya Delzons'a. Murat skierował ją niezwłocznie ku prawemu skrzydłu, aby uniemożliwić odwrót nieprzyjacielowi, który zatrzwożył się i zaniechał dalszej walki.

Wspomniane powyżej wąwozy i jary ciągną się na przestrzeni kilku mil. Tegoż samego dnia, wieczorem, wojska wicekróla połączyły się z korpusem Murat'a. W ciągu nocy siły Ostermann'a wzrosły w trójnasób dzięki przybyciu korpusów Pahlen'a i Konownicyna. — Nazajutrz zaś, skoro świt, nowa zawrzała bitwa. Zabezpieczywszy się od lewego skrzydła rosyjskiego, obaj książęta francuscy wyznaczali już swojemu prawemu skrzydłu pozycję, z której pułki ruszyć miały do boju i która miała być jednocześnie dla nich punktem

oparcia, gdy wtem nagle ozwała się z lewego flanku głośna wrzawa; to Rosyane — ośmieleni dwukrotnem odparciem kawaleryi i piechoty naszego skrzydła — tłumnie wysypywali się teraz z lasu, dzikie wznosząc okrzyki. W owej chwili zapal i męstwo ożywiały szeregi rosyjskie, zwątpienie i bezradność ogarnęły zawsze i wszędzie zwycięskich dotychczas Francuzów.

8-my pułk i batalion Kroatów napróżno usiłowały oprzeć się przeważającym siłom; topniały jeno coraz bardziej, zaścieleając ziemię stosami trupów i rannych; pod pozorem ratowania i przenoszenia rannych, częstokroć rany symulując, zdrowi i silni licznie opuszczali szeregi. Widmo porażki unosiło się nad nami. Wśród ogólnego rozprężenia, przez nikogo nie podtrzymywana, cofać się już zaczynała artylerya, najwytrwalsza i najbardziej doborowa broń. Chwilę jeszcze, a wszystkie pułki, rozbite i zdezorganizowane ucieczką — spotkałyby się w ciasnej gardzieli wąskiego jaru; wówczas zaś próżnemi byłyby groźby i nawoływania oficerów, bezcelowem — największe nawet męstwo.

W owym momencie Murat — wzburzony przebiegiem walki — stanął osobiście na czele pułku ulanów polskich, którzy zarówno pod wpływem ognistej przemowy króla jak i nieprzejednanej nienawiści względem Rosyan, cwałem ruszyli do ataku. Podobno Murat chciał jedynie poprowadzić ich w wir walki; nie wypadło mu brać w niej czynnego udziału, gdyż jako naczelny wódz, obowiązany był wszystko widzieć i wszystkiem kierować; lecz na znacznej przestrzeni lance ulanów polyskiwały za nim zwarta gęstwina, a ko-

nie mknęły jak wiatr. Nie mógł więc ani usunąć się na bok, ani zatrzymać. Pierwszy tedy wpadł na szeregi rosyjskie i bił się na równi z innymi, niepomny godności swojej, ze zwykłą sobie zachwałą odwagą.

Równocześnie, general d'Anthouard zagrzewał do walki swoich kanonierów, a general Girardin poprowadził 106-ty pułk przeciw prawemu skrzydłu rosyjskiemu i wyparł je z pozycji, zabierając mu dwa działa. Z przeciwległej strony, gen. Piré obszedł nieprzyjaciela z lewego flanku i zmusił go do odwrotu. Rosyane cofnęli się w mroki leśne.

Mimo to wszakże bronili uparcie gęstego lasu, którego nader wysunięta pozycja przerywała ciągłość naszej linii bojowej. 92-gi pułk, zaskoczony zięjącym z lasu ogniem, gradem kul zasypany, stał nieruchomo, nie śmiejąc ani atakować, ani też cofać się. Sercem żołnierzy miotaly ąwojakie, najzupełniej sprzeczne uczucia: trwoga przed niebezpieczeństwem i obawa hańby. Rosyane szerzyli tymczasem w szeregach straszliwe spustoszenie. Lecz gen. Belliard, w ślad którego podążył wkrótce gen. Roussel, tak umiejętnie podniósł ducha w żołnierzach, że po krótkiej walce las zdobyto.

Dzięki temu, znaczny oddział nieprzyjacielski, który starał się obejść lewe nasze skrzydło, został nagle odsłonięty. Dostrzegłszy, go Murat ruszył pierwszy ze wzniesioną szablą w dłoni, wołając: „Za mną, wiara!” — Liczne jednak jary i parowy ułatwiły Rosyanom odwrót: cofnęli się wszyscy w głąb rozległego lasu, który ciągnął się

na przestrzeni dwóch mil i był ostatnią zasłoną, kryjącą przed nami Witebsk.

Po tak uciążliwej i zażartej bitwie, zarówno król neapolitański, jak i wicekról włoski, obawiali się iść dalej, gdy nadciągnął cesarz. Wysłuchawszy złożonego mu przez obu książąt raportu, Napoleon udał się przedewszystkiem na szczyt najwyższego i najbardziej wysuniętego ku nieprzyjacielowi wzgórza. Z wyniosłości tej geniusz jego wznosił się orlemi loty ponad wszystkie te przeszkody, przeniknął tajemniczy gąszcz posępnych lasów i zwartość sinawych, dalekich wzgórz — i, nie wahając się, odnośnie wydał rozkazy. Dwa lasy, o które poszczerbiła się moc Murat'a i wicekróla, zostały niebawem przebyte i tegoż jeszcze dnia — o wieczornym mroku — mieszkańcy Witebska dojrzeć mogli wśród okalającej miasto równiny ciemne sylwetki naszych strzelców.

Powstrzymała tutaj cesarza noc, tysiące ognisk nieprzyjacielskich biwaków, niezajomość terenu, potrzeba wywiadów dla należytego rozlokowania dywizyi, wreszcie zwłoka, spowodowana wąskością jaru, przez który pułki kolejno wydostawały się na równinę. Odpoczynek był zresztą konieczny, tak dla ludzi, jak i dla koni. Napoleon spędził noc pod namiotem, na pagórku, położonym z lewej strony traktu, opodal wsi Kukowiacze.

Nad ranem, 27-go, ukazał się cesarz na forpocztach. Dzienny brzask dozwolił mu ujrzeć wreszcie armię rosyjską na płaskowzgórzu, które góruje nad wszystkimi drogami, wiodącymi do Wi-

tebska. Rzeka Łuczyssa, głębokim płynąca korytem, okalała tę niezwykle silną pozycję. W pewnej odległości od rzeki, dziesięć tysięcy jazdy i nieco piechoty zdawało się bronić doń przystępu: piechota ustawiona była częściowo w centrum, wpoprzek traktu, częściowo w lesie, na lewym skrzydle; cała zaś kawalerya — na prawym skrzydle, o Dźwinę oparta.

Czoło armii rosyjskiej nie godziło już wprost w naszą kolumnę, lecz nieco na lewo; a zmieniło kierunek, idąc brzegiem rzeki, która w tem miejscu oddalała się od nas nagłym skretem. Przeszedłszy wąwóz, który dzielił ją od tego nowego pola walki, kolumna francuska musiała zatem zwrócić się na lewo, wysunąć ku przodowi prawe skrzydło tak, aby utrzymać z tej strony kontakt z rzeką i stanąć naprzeciw szeregów nieprzyjacielskich. Na skraju wąwozu, w pobliżu mostu, odosobniony pagórek zwrócił był odrazu uwagę cesarza: z pagórka tego obserwować mógł obie armie, stojąc sam na uboczu—jak sekundant podczas pojedynku.

Najpierw wysunęło się na płaskowzgórzu dwustu wołyżerów, rodem z Paryża, wchodzących w skład 9-go pułku piechoty liniowej. Skierowano ich niezwłocznie na lewo, pobok Dźwiny, wprost całej jazdy rosyjskiej. Z tyłu, za wołyżerami, szedł 16-ty pułk konnych szaserów, oraz kilka lekkich dział polowych. Rosyanie przyglądali się obojętnie defiladzie naszych szeregów i czynionym przez nas przygotowaniom do ataku.

Bezczynność ta była dla nas pomyślna. Lecz król neapolitański, upojony tyłoma spojrzeniami,

ulegając wojennemu animuszowi, skierował szaserów 16-go pułku przeciw całej jeździe rosyjskiej. Z żalem i przerażeniem spoglądano na nieliczny oddział francuski, który—poprzez wyrwy i usypiska — przedostawał się z trudem ku nieprzyjacielowi. Niechętnie szli nieszczęśni żołnierze, ociągając się wobec niechybnej zguby. To też przy pierwszym natarciu ułanów gwardyi rosyjskiej — podali tyły; lecz przebyte dopiero co jary utrudniały ucieczkę; chwila jeszcze — a ziemia spłynęła krwią, ozwały się krzyki i jęki.

Murat—zrozpaczony—z szablą w dłoni rzucił się wówczas w odmęt walki. A za nim runęło około sześćdziesięciu jeźdźców: oficerów i żołnierzy. Staęli—zdumieni zuchwałym tym czynem ułani rosyjscy. Wprawdzie Murat o mało nie przyplącił życiem szalonej swojej odwagi, lecz pościg powstrzymał. Szczątki nieszczęsnego regimentu szaserów zdołały schronić się pod opiekuńcze skrzydło 53-go pułku.

Śmiała szarża ułanów rosyjskich dozwoliła im dotrzeć aż do stóp wzgórza, z którego Napoleon obserwował przebieg bitwy. Według przyjętego zwyczaju, broniło cesarza kilkudziesięciu spieszonych szaserów gwardyi francuskiej. Celnymi strzałami odparli oni atak nieprzyjaciela. Cofając się, ułani napotkali owych dwustu wołyżerów—dziatwę Paryża,—którzy po ucieczce 16-go pułku pozostali sami na placu boju. Zawrzała walka. Wszystkie spojrzenia zwróciły się w tę stronę.

Mniemano zobopólnie, iż nieuchronną jest zagłada szczupłej garstki piechurów. Oni wszakże nie zwątpili o sobie. Kapitanowie cofnęli się

przedewszystkiem wraz ze swojemi kompaniami pobok Dźwiny na teren wyboisty, gęstemi porośly krzakami, pełen dziur i rozpadlin. Obyci z wojną i jej wybiegami, zbiegli się wnet wszyscy na krótką a decydującą wobec groźnego niebezpieczeństwa rozprawę. I wszyscy — od najmłodszego gołowąsego rekruta, do starych, w służbie osiwiałych wiarusów, oficerowie i żołnierze— spojrzeli po sobie, starając się wyczytać wzajemnie we własnych oczach to, co każdy z nich krył na dnie duszy. Lecz wszystkie twarze spokojne były, wszystkie oczy gorzały męstwem. Ogólną widząc ufność, każdy łacniej zawierzył własnym siłom.

Wykorzystano umiejętnie właściwości terenu. Próżnemi były wszelkie usiłowania ułanów rosyjskich: krzaki i rozpadliny zatrzymywały ich co chwila; długie lance przeszywały jeno powietrze. Przy wtórze świstu i warkotu kul, któremi prażyli ukryci za krzakami wołtyżerowie, coraz gęściej padały ludzkie i końskie trupy, nowe tworząc przeszkody. Zniechęceni i zdzięsiatkowani, Rosyanie zawrócili wreszcie i pognali ku swoim. Ucieczka ich, radosne okrzyki naszej armii, honorowe odznaki natychmiast przesłane przez cesarza najwaleczniejszym, uznania pełne słowa jego, które po całej rozbrzmiały Europie—wszystko to zwiastowało tym walecznym żołnierzom zdobytą przez nich chwałę. Sami nie oceniali dostatecznie jednak własnego bohaterstwa: piękne czyny zazwyczaj kryją się skromnie w cieniu, unikając wrzawy i rozgłosu. Bliscy śmierci lub

conajmniej niewoli, w tej samej prawie chwili — zwyciężali, blaskiem sławy promienni!

Zuchwała buta Rosyan, zajmujących obronną pozycję u bram gubernialnego miasta — zwiódła Napoleona. Sądził bowiem, iż poczucie honoru nie dozwoli im cofać się bez walnej bitwy. Mimo wczesnej pory—minęła zaledwie jedenasta—kazał zaprzestać walki, aby mózdz objechać spokojnie front całej linii bojowej i wszystko przygotować na dzień następny, do decydującej rozprawy. Nim jednak ucichły strzały, ulokował się na niewielkim pagórku, wpośród strzelców — i tam spożył napędce śniadanie. Z tego samego wzgórza ciekawie obserwował nieprzyjaciela, gdy zbłąkana kula zraniła stojącego przy nim żołnierza. Reszta dnia upłynęła na szczegółowych wywiadach i na wyczekiwaniu nie nadeszłych jeszcze korpusów.

Napoleon zapowiedział bitwę na dzień następny. Żegnając Murat'a, zawołał: „Jutro — o piątej — zablýśnie znów słońce z pod Austerlitz.” Słowa te tłómaczą nagle zaprzestanie walki w chwili, gdy zwycięstwo zdawało się na naszą przechylać stronę, gdy pułki nasze, zniechęcone i wyczerpane nieustannym pościgiem, dopadły wreszcie nieuchwytniej dotychczas armii rosyjskiej. Murat, który napróżno wyglądał co dnia walnej rozprawy—wbrew opinii cesarza—utrzymywał, że Barclay dlatego jedynie przygotowywał się rzekomo do walki, aby ująć spokojnie pod osłoną nocy. Nie mogąc jednak przekonać Napoleona, rozłożył się obozem nad samym brzegiem Łuczyssy, oniemal wpośród wojsk rosyj-

skich. Pozycja ta, z której obejmował całe płaskowzgórze, z której mógł ewentualnie uczynić wycieczkę na przeciwległy brzeg i zakłócić Rosyanom odwrót—odpowiadała najlepiej awanturniczemu jego usposobieniu.

Murat był w błędzie, a jednak miał rację; Napoleon trafnie rozumował, a jednak omylił się. Człowiek bowiem jest zawsze igraszką losu. Cesarz przeniknął w zupełności zamiary wodza rosyjskiego. Istotnie, Barclay, sądząc, iż Bagration znajduje się koło Orszy i niebawem nadciągnie pod Witebsk, zdecydował się na walną bitwę. Lecz otrzymane wieczorem wieści o cofaniu się Bagration'a przez Nowy-Bychów na Smoleńsk — zmieniły całkowicie jego plany.

W rzeczy samej, 28-go o świcie, Murat zawiadomił cesarza, iż puszcza się w pogoń za Rosyanami, o których już słuch zaginął. Napoleon wszakże nie dał się odrazu przekonać, twierdząc uparcie, że cała armia nieprzyjacielska jest w pobliżu i że wobec tego działać należy z wielką ostrożnością. Spowodowało to, oczywiście, znaczną zwłokę. Wreszcie dosiadł cesarz konia. Potrochu rozwiewały się jego złudzenia, a pierzchyły zupełnie, gdy stanął w pośrodku opuszczonego przez Rosyan obozu.

Obóz ten zdradzał niepospolitą znajomość sztuki wojennej, zarówno doborem terenu i symetrią poszczególnych kwater, jak ścisłym i wyłącznym przestrzeganiem obowiązujących przepisów, wzorowym porządkiem i czystością; nic nie zostawiono, o niczem nie zapomniano. Poza granicami obozu nie było żadnych śladów, nic, coby

wskazywało kierunek, w jakim zwrócili się Rosyanie. W porażce ich więcej było ładu, aniżeli w naszym zwycięstwie. Cofając się, świecili przykładem, z którego niestety! zwycięzcy nigdy nie korzystają: bądź to dlatego, że powodzenie zaślepia, bądź też, że niedola dopiero uczy rozumu i dawne wykorzenia przywary.

Jedynym wynikiem owego pościgu było ujęcie żołnierza rosyjskiego, którego znaleziono śpiącego pod krzakiem. Wkrótce potem wojska nasze wchodziły do Witebska.

Przeszukano napróżno wszystkie drogi. Nikt nie mógł dociec, dokąd udali się Rosyanie: w kierunku Smoleńska, czy też brzegiem, w górę Dźwiny. Ney podążył ze swoim korpusem ku Smoleńskowi, reszta zaś armii śladem dojrzanego w oddali luźnego oddziału kozaków. Brodząc po kostki w grząskim piasku, wśród tumanów kurzu, w słońcu i spiekocie, uszliśmy sześć mil. Noc zastała nas w pobliżu wsi Agaponowczyzny.

Podczas kiedy zmordowane i spotniałe pułki gasiły pragnienie mętną wodą z błotnistych kałuży, na wzgórzu, obok traktu, toczyły się pod cesarskimi namiotami ożywione obrady, w których brał udział cesarz, król neapolitański, wicekról i ks. Neuchâtel'u.

„Znów tedy — jak pod Wilnem — wymknęło mi się z rąk tyle upragnione, tak bardzo oczekiwane i nieodzownie potrzebne zwycięstwo. Doścignęliśmy wprawdzie tylne straże, lecz były one niemi istotnie? Czyż Barclay nie cofnął się raczej ku Smoleńskowi przez Rudnię? Czyż długo jeszcze trzeba będzie ścigać Rosyan, zanim

zmusi się ich do rozstrzygającej rozprawy? Potrzeba zorganizowania oswobodzonej Litwy, stworzenia magazynów i szpitalów, ustanowienia nowego punktu zbornego, gdzie mogłyby gromadzić się i wypoczywać strudzone oddziały, wreszcie ogrom linii bojowej, która rozwijała się w sposób wręcz zatrważający — wszystko to czyż nie powinno nakłaniać do zatrzymania się u granic starej Rosyi?”

W czasie narady Murat pokrył milczeniem utarczkę, która rozegrała się nieopodal Agapowczyzny. Forpocztę nasze zostały rozbite: część jeźdźców zmuszona była uciekać pieszo, inni zaś zaledwie uchronić zdołali zmordowane i osłabłe konie. Interpelowany przez cesarza, generał Belliard oświadczył bez ogródek, że pułki wyczerpane są doszczętnie; że po sześciu dniach równie forsownych, jak dotychczas, marszów — wyginęłyby wszystkie konie; że wypoczynek nieodzownie jest potrzebny, zarówno dla ludzi, jak dla zwierząt.

Straszliwy upał, żar bijący od rozpalonych piasków—przeważały na szali. Cesarz—zmęczony sam i wyczerpany — uległ wreszcie rozumnym perswazyom. Armia francuska rozłożyła się wzdłuż Dźwiny i Dniepru, oraz na zawartej między temi rzekami przestrzeni: Poniatowski na czele pułków polskich w Mohylewie; korpus Davout'a w Orszy, Dubrownie i Lubowiczach; Murat, Ney, armia włoska i gwardya — między Orszą i Dubrowną z jednej strony, a Witebskiem i Surazem z drugiej; forpocztę w Ładach, Jankowie i Wielizu wprost korpusów Barclay'a i Bagration'a; oba bo-

wiem wojska rosyjskie, z których jedno, przeprawiwszy się przez Dźwinę, uciekało przed Napoleonem na Drisę i Witebsk, a drugie, przebywszy Berezynę i Dniestr, uchodziło z rąk Davout'a na Bobrujsk, Bychów i Smoleńsk—zdołały wreszcie w jedną połączyć się całość.

Pojedyńcze wielkie korpusy, odłączone od głównej armii, rozlokowane były w następujący sposób: na prawo, wprost Bobrujska, którego bronił dwunastotysięczny oddział Hoertel'a — generał Dąbrowski.

Na lewo, na trakcie, wiodącym do Petersburga, a bronionym przez trzydziestotysięczny korpus Wittgenstein'a—w Połocku i Białyczanach ks. Reggio i generał Saint-Cyr.

U skraju lewego skrzydła, wprost Rygi i nieco na prawo, ku Dynaburgowi, wzdłuż rzeki Aa—Macdonald i trzydzieści ośm tysięcy Prusaków i Polaków.

Równocześnie Szwarzenberg i Régnier, na czele korpusów: saskiego i austriackiego, zajmowali w kierunku Słonima przestrzeń między Niemnem a Bugiem, osłaniając Warszawę i tyły Wielkiej Armii, niepokozone przez Tormasowa. Ks. Belluno nadciągał od Wisły z czterdziestotysięczną rezerwą, a Augereau gromadził w Szczecinie nowy, jedenasty z rzędu korpus.

W Wilnie, otoczony przedstawicielami kilku dworów europejskich, rządził ks. Bassano. Czynnie zajmował się sprawami Litwy, prowadził korespondencję z wszystkimi wodzami, przesyłał im otrzymany od Napoleona instrukcje, posuwając nieustannie w głąb kraju nadchodzące wciąż

do Wilna zapasy żywności, oddziały rekrutów i maruderów.

Z chwilą, gdy cesarz zdecydował się na powyższy plan, powrócił wraz z gwardyą do Witebska. Wchodząc wieczorem 28-go lipca do swojej kwatery, odpasal szpadę, a, rzuciwszy ją porywczo na stół, mapami okryty, zawołał: „Zatrzymuję się tu; chcę poznać tutejsze warunki, skupić całą moją armię, wypocząć i zorganizować Polskę. Kampania r. 1812 jest już ukończona! Rok 1813—dokona dzieła!”

Wraz z zajęciem Litwy cel wojny został już właściwie osiągnięty, a jednak zaledwie rozpoczęta była kampania, zdobyto bowiem ziemię, lecz nie pokonano ludzi. Armia rosyjska nie była dotychczas naruszona: oba jej skrzydła, rozdzielone gwałtownością pierwszego starcia, połączyły się ponownie. Wbrew wszelkim przewidywaniom, mimo łagodnej, najpiękniejszej pory roku, Napoleon postanowił rzekomo nieodwołalnie zatrzymać się nad brzegami Dniepru i Dźwiny. Tem łatwiej zaś mógł innych w błąd wprowadzić, odnośnie do planów swoich i zamiarów, że sam siebie zwodził.

Nakreślono już na mapach linię obronną Francuzów: artylerya obłężnicza w pobliżu Rygi, o którą opierało się lewe skrzydło armii. Dynaburg i Połock silną obsadzone załogą. Witebsk i okalające go lesiste wzgórza, nader łatwe do ufortyfikowania—zajęte przez centrum. Od Witebska zaś ku południowi, od Berezyny aż po Dniepr, wśród trzęsawisk i moczarów—pojedyncze oddziały, broniące nielicznych przejsć. Olbrzymią tę

linię zamykał od południa Bobrujsk, twierdza pozostająca dotąd w ręku Rosyan. Ostatnim atutem w grze był projekt masowego powstania ludnych prowincyi południowych; bitne oddziały partyzanckie wypędzić miały Tormasowa i przyłączyć się do armii Szwarzenberga. Jeden z najmożniejszych właścicieli ziemskich tych prowincyi, pan z dziada pradziada, duszą i ciałem przystał był odrazu do zbawców swojej ojczyzny. Jemu też z ramienia cesarza przypadło kierownictwo zamierzonej insurekcji.

W tym składzie rzeczy niczego nie powinno było zabraknąć: Kurlandya wyżywić miała Macdonald'a, Żmudź — Oudinot'a, żyzne równiny Białej Rusi—cesarza, prowincye południowe—resztę armii. Główne magazyny —skoncentrowane w Gdańsku — nie były zresztą zbytnio oddalone, wielkie depôt znajdowały się w Wilnie i Mińsku. Tym sposobem armia ściśle byłaby związana z oswobodzoną przez się krainą; wszystko zaś zgodnie by z nią współdziałało: gleba, rzeki, moczary, produkty i mieszkańcy.

Taki był plan Napoleona. Częstokroć przebiegał cesarz Witebsk i jego okolice, jakgdyby chcąc poznać dokładnie miejscowość, w której zamierzał osiedlić się na długo. Rosły w mieście budowle, powstawały różnorodne przedsiębiorstwa i zakłady. Wzniesiono między innemi trzydzieści sześć piekarni, które wypiekały jednorazowo dwadzieścia dziewięć tysięcy funtów chleba. Potrzeba upiększeń przyłączyła się niebawem do ściśle realnej i praktycznej działalności. Ponieważ stare kamienne domy psuły harmonię placu zamkowe-

go, cesarz nakazał gwardyi zburzyć je i gruzy z placu usunąć. Projektowano już rozrywki na sezon zimowy: sprowadzenie z Paryża aktorów, a z Wilna i z Warszawy uroczych spektakerek.

Jasno świeciła wówczas przewodnia gwiazda cesarza. I nie byłaby zagasła, gdyby nie późniejsze niecierpliwe, szalone odruchy, które cesarz uważał za chwile genialnego natchnienia, a które przywiodły go do zguby!

Tegoż samego dnia, wobec licznego audytoryum, zwrócił się do jednego z administratorów z temi znamienemi słowy: „Niechaj pan stara się wyżywić nas tutaj, gdyż nie mam zamiaru wstępować w ślady Karola XII!” — Niebawem wszakże czyny zadaly kłam słowom. Wszyscy dziwili się obojętności cesarza dla tak ważnego i trudnego przedsięwzięcia.

Umiarkowany ton pierwszych przemówień Napoleona nie zwiódł, co prawda, najbliższego jego otoczenia. Przypominano sobie, że gdy na widok opustoszałego obozu rosyjskiego i otwartych bram Witebska, oficerowie sztabu cieszyli się z równie łatwej zdobyczy, cesarz nagle zwrócił się ku nim i zawołał z gniewem: „Czy sądzicie, iż przybyłem z tak daleka po to jedynie, aby zająć tę rudere?” — Wiedziano zresztą, że o ile cel zawsze jasno był wytknięty, o tyle plan zmieniał się zależnie od warunków i okoliczności, z szybkością, właściwą geniuszowi cesarza.

Napoleon ludził się nadzieją, iż otrzyma wkrótce od cesarza nowe propozycje pokojowe. Pozatem absorbował go stan armii, ogólna jej nędba i wyczerpanie. Trzeba było stać cierpliwie,

nim liczni chorzy i maruderzy zdołali dotrzeć: jedni do szpitali, drudzy do odnośnych korpusów; zwiększać równocześnie liczbę tych szpitali, gromadzić zapasy żywności, zakupywać konie, czekać wreszcie na ambulanse, artyleryę i pontony, na tyły armii, posuwające się z trudem wśród piaszczystych równin Litwy. Dużo czasu pochłaniała również korespondencja z Europą. Ostatnią zaś — ważną przyczyną, która zatrzymywała cesarza u granic właściwej Rosyi, było niezwykle skwarne lato, żarem dyszące. Bo dziwny ten klimat nie zna w niczem miary: wysusza, albo zalewa, pali albo mrozi; ziemia ginie od posuchy, w słonecznym skwarze, lub kurczy się pod białym śnieżnym całunem i lodową powłoką; zdradziecka atmosfera lata północy, upalna, obywatelniająca, która czyni organizm tem wrażliwszy na jesienne szarugi i trzaskające mrozy styczniowe.

Cesarz odczuwał zapewne narówni z innymi ujemny wpływ klimatu. Lecz gdy wypoczął należycie, gdy dzień mijał za dniem, nie przynosząc żadnych wieści z głównej kwatery rosyjskiej, gdy wydane zostały najważniejsze rozkazy — jał niecierpliwieć się i zwykły, niewzruszony tracić spokój. Bądź to, że jako człowiekowi czynu, ciążyła mu bezczynność i że przekładał raczej niebezpieczeństwo nad nudę wyczekiwania; bądź też, że uległ w owej chwili przemożnej władzy instynktu zaborczego, który u wielu jednostek silniejszy jest, aniżeli wszelkie inne uczucia: aniżeli radość posiadania lub nawet obawa zupełnej zagłady.

Wtedy to zwłaszcza prześladowała go ze

szczególniejszym uporem wizya zdobytej i ujarzmionej Moskwy: cel marzeń jego, kres wszelkich obaw i trudów. Należało spodziewać się, iż płomienny a niespokojny geniusz cesarza, do szybkiego nawykły działania, nie zechce wyczekać ośm miesięcy na zajęcie miasta, do którego można było dotrzeć w niespełna trzy tygodnie.

Nikt wszelako—na zasadzie ogólno-ludzkich słabostek—nie powinien wydawać pobieżnych sądów o równie niepospolitej jednostce, nikt potępić powziętego przezeń postanowienia. Ujrzymy niebawem do jakiego stopnia zewnętrzna polityka cesarza utrudniała i komplikowała militarną jego akcyę; ujrzymy zależność ważnych i doniosłych czynów od drobnostek; ujrzymy losy Rosyi, zawisłe pod Moskwą od chwilowej niedyspozycyi cesarza.

Początkowo jednak—nawet przed samym sobą—nie przyznawał się do tak zuchwałych zamiarów. Lecz powoli, potrochu, jął nad nimi rozmyślać, ważyć wszelkie pro i contra, wątpić i wahać się, ulegając stopniowo coraz większemu rozdrażnieniu. Godzinami całemi błakał się bez celu, z kąta w kąt, dręczony nieprzepartą pokusą. Nic nie było w stanie dłużej go zająć: rozpoczął jakąś pracę, po chwili rzucił ją i znów doń powracał; bębnił palcami po stole, pytał się o godzinę, obserwowował niebo, stawał, bezmyślnie nucił coś pod nosem i znów zaczynał chodzić.—zadumany, chmurny.

Pod wpływem wewnętrznej rozterki, spotkawszy kogokolwiek, stawał mu kilka szorstkich, urywkowych pytań: „No i cóż? Zostaniemy tu? Czy pójdziemy dalej? Czy należy zatrzymać

się na drodze chwały?” — I, nie czekając na odpowiedź, odchodził. Po za własnem swoim „ja” — zdawał się szukać spokojnej, wyrozumowanej decyzji.

Upadając wreszcie pod brzemieniem zwątpienia i niepewności, zmożony — mimo lekkiego odzienia — upałem i natężeniem umysłu, rzucił się na twarde polowe łóżko. W ten sposób spędzał w Witebsku znaczną część dnia.

Lecz gdy ciało wypoczywa, tem usilniej pracuje zazwyczaj umysł. „Tyle pobudek skłaniało go do zajęcia Moskwy! Takim bezmiarem nudy przerażała ewentualność spędzenia w Witebsku długich zimowych miesięcy! Czyż istotnie, on, zdobywca świata, zamiast atakować, zmuszony będzie bronić się? Czyż istotnie miałaby przypaść mu w udziale rola niegodna go, do której nie nawykł, która nie odpowiada żadną miarą zasadniczym cechom jego geniuszu?”

W końcu, nagle zdecydowany, unikając refleksyi i głębszego zastanowienia, zrywa się czemprędzej z łóżka. I, pochłonięty już całkowicie nowym planem, pochyła się nad mapami. A mapy ukazują mu Smoleńsk i Moskwę, wielką Moskwę, „święte miasto” — nazwy, które powtarza z upodobaniem, a które zdają się podsycać jeszcze gorzącą w duszy jego żądzę podboju. Geniusz wojny roztacza nad nim ogniste swoje skrzydła, od krwi purpurowe: głos cesarza spiżowemi brzmi tony, oczy płoną, groźnie ściągają się brwi. Z całej — niewielkiej postaci, bije moc i majestat. Straszliwa koncepcja już gotowa: plan narysowany jest, powzięte postanowienie, wyznaczona

marszruta! Natychmiast, widoczna następuje zmiana: czoło cesarza wygladza się, łagodnieje wyraz twarzy, gaśnie ostry, fosforyczny blask oczu.

Zwraca się wówczas do najbliższego swego otoczenia, szukając uznania i aprobaty dla powziętej decyzji. Wszędzie jednak napotyka opór, różnorodnie objawiający się, zależnie od charakteru i usposobienia. Berthier perswadował, prosił, nawet płakał. Lobau i Caulaincourt wypowiedzieli się szczerze i otwarcie; pierwszy — z właściwą mu chłodną i wyniosłą szorstkością; drugi — zapalczywie, niemal gwałtownie. Wobec ogólnego protestu cesarz nie tail niezadowolenia swego i gniewu, a spoglądając chmurnie na Berthier'a i jednego z adjutantów — zauważył: „że zanadto wzbogacił swoich generałów, którzy myślą jedynie o rozkoszach łowiectwa i świetnych kalwakatach po ulicach Paryża, a którym zbrzydła już snąć wojnal!” — Na takie oświadczenie nie było odpowiedzi. Każdy spuszczał głowę i rezygnował w milczeniu. Jednemu z generałów gwardyi powiedział cesarz w chwili rozdrażnienia: „Urodziłeś się na biwaku i umrzesz na biwaku!”

Duroc również przeciwny był projektowi cesarza; początkowo milczał uparcie, następnie zaś mówił jasno i zwięźle, czyniąc krótkie lecz nader trafne i rzeczowe uwagi. Napoleon odparł: „Iż zdaje sobie doskonale sprawę z zamiarów Rosyan, którzy pragną wciągnąć go w głąb kraju; lecz, że mimo to dotrzeć jeszcze musi do Smoleńska, na zimowe leże; że o ile na wiosnę r. 1813 — Rosya nie zawrze pokoju, będzie niechybnie zgubiona; że Smoleńsk stoi na straży

dwóch dróg: drogi do Petersburga i drogi do Moskwy; że należy zająć ten niezmiernie ważny posterunek, stamtąd zaś wyruszyć równocześnie ku obu stolicom: wszystko zburzyć w jednej z nich, wszystko zachować w drugiej...

„Że zwróci następnie oręż swój przeciwko Prusom, które zapłacą koszta wojny”.

Z kolei pytał cesarz o zdanie ministra Daru, człowieka niezwykle prawego, o nieugiętym i jak stał hartownym charakterze. W obecności jednego tylko Berthier'a, wszczęto sprawę pochodu na Moskwę. Narady trwały przeszło osiem godzin. Nagabywany przez Napoleona, Daru odpowiedział: „Że wojna taka nie byłaby wojną narodową; że ani import towarów angielskich do Rosyi, ani nawet odbudowanie Królestwa Polskiego—nie stanowią dostatecznie ważnych przyczyn do podjęcia równie dalekiej i ryzykownej wyprawy; że zarówno żołnierze, jak i oficerowie nie uznają konieczności takiej wojny; że wszystko przemawia zatem, aby zatrzymać się w Witebsku”.

Cesarz zachnął się:

„Krew nie została jeszcze przelana, a Rosya zbyt jest potężna, aby poddać się bez walki. Aleksander rozpocząć może preliminarya dopiero po walnej bitwie. Jeśli zajdzie tego potrzeba, dotrę aż do „świętego miasta” i tam zwyciężę. Pokój czeka na mnie u bram Moskwy. A jeśli wówczas jeszcze Aleksander trwać będzie w uporze, układać się będę z bojarami lub też z ludnością Moskwy, która o tyle liczną jest i oświeconą, aby zrozumieć dobrodziejstwa swobody

własny swój interes”. Poczem dodał: „Zresztą, Moskwa nie cierpi Petersburga; podobne zaś współzawodnictwo — w skutkach wprost nieobliczalne — łatwo będzie wyzyskać”.

Podniecany rozmową, cesarz zdradził zatem mimowoli najtajniejsze plany swoje i nadzieje. Daru odparł: „Że dotychczas, bądź to na skutek decyzji, bądź też chorób i głodu, kontyngens armii zmniejszył się już o jedną trzecią.

„Że jeśli w Witebsku odczuwano już znaczne braki, co będzie dalej?”

Po Daru zabrał głos Berthier: „Jeśli posuniemy się w głąb kraju, Rosyanie szarpać będą mogli dowoli oba, nazbyt wydłużone flanki naszej armii; gnębić nas będzie głód, a zwłaszcza sroga mroźna zima. Przeciwnie, zatrzymując się nadal w Witebsku, na długie zimowe miesiące, cesarz stałby się panem sytuacji; teren wojny z konieczności musiałby się przybliżyć, zamiast oddalać się coraz bardziej w mroczną, nieujętą dal”.

Cesarz słuchał uważnie wywodów Berthier’a i Daru; przerywał im niekiedy subtelnym argumentem, stawiając kwestyę w myśl pragnień swoich, lub też uchylając się przed zbyt trafnym zarzutem. Bez względu jednak na tok dyskusyi, cierpliwie jej wysłuchał i cierpliwie na wszystko odpowiadał. Zarówno zaś w słowach jego, jak w wyrazie twarzy, w spojrzeniu jak w ruchach — przebijała się owa niezrównana dobroduszość i prostota, którą odznaczał się prawie zawsze w domowem pożyciu, a która tłumaczy dlaczego — mimo tylu nieszczęść — dotąd kochany jest przez

tych wszystkich, którzy otaczali go niegdyś zbliska.

Niezbyt zadowolony z wyniku dyskusyi, cesarz radził się jeszcze kilku innych generałów; lecz pytania, jakie im zadawał, brzmiały tak ostro i rozkazująco, że wszyscy niemal — żołnierze z krwi i kości, nawykli słuchać ślepo rozkazów swego wodza—również ulegli byli w obradach jak na polu bitwy.

Ogólnie zdawano sobie doskonale sprawę z faktycznego stanu rzeczy; pojmowano nieodzowną konieczność rychłego zwycięstwa i to także, że zwyciężyć mógł tylko cesarz. Niedola uszlachetniła zresztą armię; pozostały najlepsze, najtęższe jednostki, tak pod względem fizycznym, jak duchowym, krzepkie i hartowne. Dzielnych tych żołnierzy gnębiła niepomiernie nuda oczekiwania i niewygody nędznych kwater. Myśl o dalszym pobycie na dotychczasowych leżach przejmowała ich wstrętem; odwrotu nie brali nawet w rachubę; jedynie zatem można było posuwać się naprzód.

Nie przerażały nikogo groźne nazwy Smoleńska i Moskwy. Ów niezmierny przestwór dalekiej nieznanej krainy, przez obce zamieszkałej ludy byłby, niewątpliwie, zatrwożył i odstręczył innych ludzi, wyrosłych w innych czasach i wśród innych warunków. Ci jednak lubowali się w niezwykłych sytuacjach, w trudach i niebezpieczeństwie; spróbowawszy już w życiu wszystkiego, łaknęli nowych, silnych a podniecających wrażeń.

Bezbrzeżną była wówczas duma i pycha, żą-

dza sławy, godności i dostojenstw. Zaiste, nieprzepartym i potężnym musiał być wpływ człowieka, który po bitwie pod Austerlitz zwrócił się do żołnierzy z temi słowy: „Pozwalam wam nadawać moje imię dzieciom waszym; a jeśli wyrośnie z pośród nich mąż godny tego, uczynię go spadkobiercą moim i następcą”.

Połączenie się obu skrzydeł armii rosyjskie nieopodal od Smoleńska, zmusiło jednak Napoleona do przybliżenia ku sobie poszczególnych korpusów. Wprawdzie nie padło jeszcze hasło bojowe, lecz wojna krążyła już w pobliżu, kusząc i wzywając do czynu.

Równocześnie niemal dowiedziano się w Witebsku o zwycięstwie forpoczt wicekróla pod Surazem i o porażce Sebastiani'ego, który — zaskoczony przez nieprzyjaciela w Jankowie nad Dnieprem — uległ przeważającym siłom.

Napoleon posłał wtedy do ks. Bassano pismo odręczne z poleceniem codziennego komunikowania Turcyi wiadomości o świetnych zwycięstwach armii francuskiej, bez względu na istotną prawdę. Chodziło bowiem o zerwanie pokojowych stosunków między Petersburgiem a Konstantynopolem. Osobiście doglądał jeszcze tej sprawy, gdy zjawili się w Witebsku przedstawiciele Rusi Czerwonej i uwiadomili Duroc'a o zawarciu między Turcyą a Rosyą traktatu w Bukareszcie. Traktat ten podpisany został przez Kutuzowa a ratyfikowany przez obu monarchów.

Wiść o traktacie niepomiernie zmartwiła Napoleona. Nie dziwnem mu już było milczenie Aleksandra. Tem bardziej nieodzowną stawała

się potrzeba rychłego zwycięstwa. Rozrzucane po całej Rosyi proklamacye—prostackie odezwy, dla prostaków pisane — rozwiały ostatnie złudzenia. Przytaczam tu niektóre, celniejsze urywki tych proklamacyi: „Chytry i podstępny nieprzyjaciół grozi nam całkowitą zagładą. Waleczni nasi żołnierze pragną rzucić się na jego bataliony i roznieść je na szablach; lecz nie chcemy poświęcić ich na oltarzu tego krwawego Molocha. Wszystkie ludy powstać powinny przeciwko swemu ciemęzcy. Ze zdradą w sercu, a układnym uśmiechem na ustach, na czele niewolniczych legii swoich, przychodzi oto zakuwać nas w dyby. Wypędźmy to plemię szarańcze! W krzyż wpatrzeni, dzierżąc w dłoniach oręż, wybijmy kły temu ryczącemu lwu! Obalmy tyrana, przed którym rozpada się w gruzy ziemia cała!”

Zarówno obelgi te, jak zwycięstwa i przeciwności — pobudzają energię i czynność cesarza. Posuwanie się trzech kolumn Barclay'a ku Rudni, którą odsłoniła porażka pod Jankowem—i obronnapozycya Wittgensteina, walną zapowiadały bitwę. Pozostawało zatem do wyboru: albo bitwa, albo też defensywa, niezwykle utrudniona przez znaczne przestrzenie, długa, przykra, krwawa, korzystna jedynie dla Rosyan.

Owóz Napoleon decyduje się. Decyzya jego, śmiała i wielka, lecz bynajmniej nie szalona, godną jest tytanicznego tego przedsięwzięcia. Cesarz oddał się wprawdzie od Oudinot'a, lecz uprzednio wzmacnia go korpusem generała Saint-Cyr, oraz zakazuje mu połączyć się z ks. Tarentu. Sam zaś, jeśli dąży ku nieprzyjacielowi,

to równocześnie, ocierając się niemal o pułki rosyjskie, w największej wszakże tajemnicy, przenosi centrum linii operującej z Witebska do Mińska. Manewr cesarza tak znakomicie był obmyślony, oficerowie jego przyzwyczajeni do tak wielkiej słowności i precyzji, że w niespełna cztery dni, podczas kiedy zdumiona armia rosyjska napróżno wypatrywać będzie przed sobą Francuzów, Napoleon—na czele stu osiemdziesięciupięciu tysięcy ludzi—ukáže się nagle na tyłach i na lewym flanku nieprzyjaciela, który o tyle był zucliwałym, iż sądził, że uda mu się zająć z nienacka zwycięzcę z pod Wagram i Austerlitz.

10-go sierpnia Napoleon wydał rozkaz wymarszu. Cztery dni później cała armia stanąć miała na lewym brzegu Dniepru, około Ładów. 13-go—opuścił Witebsk, po dwutygodniowym pobycie.

15-go sierpnia, o godz. 3-ej, ukazało się na widokręgu Krasne, miasto o niskich, wyłącznie drewnianych zabudowaniach. Po krótkiej utarczce z rosyjskim oddziałem, który rozbito doszczętnie, marszałek Ney zajął Krasne. Nieco później, poza miastem, ujrzano cofające się dwie kolumny rosyjskiej piechoty—ogółem sześć tysięcy ludzi—i kilka szwadronów jazdy, które osłaniały odwrót. Był to korpus Newerowskiego. Mimo bohater-skiego oporu, musiał w końcu ustąpić, pozostawiając na placu boju tysiąc dwustu zabitych, tysiąc jeńców i osiem dział. W dniu tym, kawalerya francuska okryła się niespożytą chwałą; pod gra-

dem kul nieprzyjacielskich szła kilkakrotnie do ataku i ostatecznie przełamała opór Rosyan.

Po tej porażce, Newerowski schronił się do Smoleńska, niszcząc i paląc po drodze wszelki furaz. Oszczędzono jedynie domy mieszkalne.

Podczas kiedy Wielka Armia posuwała się lewym brzegiem Dniepru w górę rzeki, Barclay i Bagration — rozłożeni obozem między Dnieprem a jeziorem Kasplia, w pobliżu Jankowa — sądzili iż znajdują się nadal w obecności wojsk francuskich. Obaj wahali się; dwukrotnie ulegając namowom generał-kwatermistrza Toll'a, postanowili wtargnąć poza linię obronną Francuzów i dwukrotnie, zdumieni i przerażeni równie śmiałym zamiarem, zatrzymywali się w pół drogi. Zbyt chwiejni, aby własnym zaufać siłom, zdawali się wyczekiwać dalszego przebiegu wojny, względnie ataku z naszej strony.

Widok Smoleńska rozpałił w duszy marszałka Ney'a żądę walki i zwycięstwa. Bądź to, iż przypomniał sobie nie w porę epizody wojny pruskiej, w ciągu której przed szablami naszych żołnierzy otwierały się bramy warownych fortec, bądź też, iż początkowo chciał jeno przyjrzeć się dokładnie tej pierwszej twierdzy rosyjskiej, dość, że zbytnio się przybliżył i ugodzony został kulą w szyję. Rozgniewany, mimo morderczego ognia, jakim zionęła cytadela, skierował przeciw niej jeden ze swoich batalionów; padło niebawem trzy czwarte żołnierzy; pozostali przy życiu walecznie szli naprzód i dotarli aż do murów; lecz wkrótce musieli ustąpić, gęstym

trupem zaścielając ziemię. O wielkiem choć bezcelowem ich bohaterstwie krótką zaledwie uczyniono wzmiankę. Z winy dowódcy napróżno polala się krew ludzka.

Zniechęcony tą niefortunną próbą, Ney cofnął się opodal rzeki, na piaszczyste, lasem porośłe wzgórze. Obserwował stamtąd miasto i okolicę, gdy w tem nagle — na przeciwległym brzegu Dniepru — zamajaczyły w oddali niewyraźne kontury maszerujących pułków. Pobiegł czemprędzej po cesarza i doprowadził go na szczyt wzgórza, chroniąc się wśród drzew i krzewów przed strzałami załogi fortecznej.

Wśród tumanów kurzu, ujrzał Napoleon długie, czarne kolumny, od luf i bagnetów połyskliwe, a które szły tak szybko, że zdawały się biegnąć. Był to Barclay i Bagration, razem około stu dwudziestu tysięcy ludzi, czyli cała niemal armia rosyjska.

Widząc to, uszczęśliwiony Napoleon klasnął w dłonie i zawołał: „Nareszcie! Mam ich w ręku“! — Nie ulegało żadnej wątpliwości, że nieprzyjaciel, który dążył właśnie do Smoleńska, bezpiecznego szukając schronienia, zaskoczony znieenacka zmuszony będzie stoczyć wreszcie pod murami fortecy tyle upragnioną przez nas bitwę. Nadeszła więc chwila, w której rozstrzygnąć się miały losy Rosyi!

Niezwłocznie objeżdża cesarz front swojej linii, obsadza wszystkie pozycye. Davout i hr. de Lobau stają na lewym flanku korpusu Ney'a; w centrum — gwardya jako rezerwa; nieco dalej — armia włoska; obok niej — Junot i West-

falczy; lecz wskutek mylnie obranej drogi, Junot zablądził i nie stawił się na oznaczonym posterunku. Murat'a i Poniatowskiego, którzy tworzyli prawe skrzydło armii i poważnie zagrażali już miastu — odsunął na skraj poblizkiego lasu. Między lasem zaś a Dnieprem, pozostała pusta przestrzeń, równa i rozległa, przeznaczona na pole walki. Armia francuska, w ten sposób rozlokowana, opierała się na wszystkich niemal punktach o jary i przepaście. Napoleon nie myślał wszakże o odwrocie, jeno o zwycięstwie.

Bagration i Barclay biegli tymczasem co tchu do Smoleńska; pierwszy z nich — aby ocalić miasto, walną staczając bitwę; drugi — aby osłonić uciekających w popłochu mieszkańców i skutecznie ewakuację magazynów; obaj zdecydowani byli obrócić raczej Smoleńsk w perzynę, aniżeli wydać go w ręce Francuzów. Stańli niebawem na wyniosłościach, wznoszących się na prawym brzegu Dniepru, tuż nad rzeką — i skonstatowali z radością, iż są jeszcze panami mostów, które łączyły oba brzegi i obie połowy miasta.

W owej chwili, Napoleon, ukrywszy za krzakami oddziały strzelców, w tyralierkę rozsypanych, jął szarpać nieprzyjaciela. Tym sposobem chciał przyciągnąć go na lewy brzeg i zapewnić sobie decydującą rozprawę na dzień następny. Wieść niesie, że Bagration byłby istotnie dał się wciągnąć w pułapkę, lecz że Barclay, oszczędzając mu pokusy, wysłał go do Jelni, sam zaś podjął się obrony miasta.

Według Barclay'a, większość wojsk naszych dążyła do Jelni, aby stanąć na tyłach armii ro-

syjskiej i zagrozić jej drogę do Moskwy. Jak wielu zresztą wodzów, mylił się wszelako, przypisując nieprzyjacielowi zamiary wręcz przeciwnie jawnym jego planom i manewrom; często — bowiem, obrona atakowana — pod wpływem trwogi i niepokoju — skłonna jest do przesady i widzi niebezpieczeństwo tam nawet, gdzie ono nie istnieje. Możliwym jest tedy, że Barclay, zmuszony stawić czoło groźnemu przeciwnikowi, gotował się do odparcia niezwyklej, gigantycznej akcji.

Sami Rosyanie wypominali później Napoleonowi dlaczego nie zdecydował się wówczas na wykonanie tego manewru. Lecz czy rozważyli dostatecznie, że, cofając się poza rzekę, poza twierdzę i armię nieprzyjacielską, aby odciąć Rosyanom odwrót, cesarz byłby pozbawił się wszelkiej komunikacji z Europą, byłby odgrodził się od reszty swojej armii, od składów i magazynów? Śnać niepojęte są dla nich olbrzymie trudności tego rodzaju przedsięwzięcia, jeśli wogóle dziwić się mogą, iż nie zostało ono dokonane w przeciągu dwóch dni, wśród nieznaney okolicy, przy współudziale blisko dwustu tysięcy ludzi, wobec innej — już rozpoczętej, a jeszcze nie ukończonej akcji.

Jakkolwiekbadz, wieczorem tegoż samego dnia, Bagration wyruszył w kierunku Jelni. Napoleon kazał rozbić namioty cesarskie w pośrodku pierwszej linii, na skraju wąwozu, okalającego miasto, oniemal, że w promieniu strzałów fortecznych. Poczem wezwał do siebie Davout'a i króla neapolitańskiego, Murat, który, począwszy od

brzegów Niemna, ścigał wciąż napróżno Rosyan, twierdził uparcie, że dostrzegł na przeciwległym brzegu ruch, zapowiadający odwrót, że wobec tego spodziewana bitwa nie dojdzie znów do skutku. Davout przeczył mu; cesarz zaś nie chciał nawet wątpić o tem, co było najgorętszem jego życzeniem.

Nazajutrz, 17-go, nadzieja rychłego zwycięstwa zbudziła Napoleona przed świtem, lecz głucho było i pusto na równinie, przeznaczonej przezeń na pole bitwy. Niemniej jednak łudził się w dalszym ciągu. Davout podzielał całkowicie zdanie cesarza. Dalton, jeden z generałów marszałka, widział pułki nieprzyjacielskie, jak wychodziły z miasta i stawały w bojowym jakoby szyku. Wiadomość ta utwierdziła Napoleona w powziętem mniemaniu, mimo usilnych perswazyi Murat'a i Ney'a.

Podczas gdy cesarz waha się i wyczekuje, generał Belliard — zniecierpliwiony zwłoką i niepewnością — zebrawszy garść jeźdźców, spycha w nurty Dniepru oddział kozacki. Dostrzega wówczas na przeciwległym brzegu, na trakcie, wiodącym ze Smoleńska do Moskwy, oddalającą się pośpiesznie armię rosyjską. Nie ulegało tedy żadnej wątpliwości, że Rosyanie cofali się. Wieść o odwrocie doszła natychmiast uszu cesarza, z zastrzeżeniem, iż poprzez Dniepr baterye nasze mogły jeszcze zakłócić wsteczny ruch nieprzyjacielski.

Belliard proponował nadto, aby część armii przepawiła się wplaw przez rzekę i odcięła odwrót tylnym strażem rosyjskim, które obowiąza-

były bronić Smoleńska. Lecz żołnierze, wysłani na wywiad — szukając brodu — ujechali naprzódno dwie mile i utopili kilka koni. A jednak, o milę powyżej miasta — istniał szeroki i wygodny bród. Napoleon, który osobiście brał udział w poszukiwaniach, zwrócił był nawet konia w tym kierunku, niebawem wszakże, przebywszy kilka wiorst, zmęczył się i zawrócił.

Od tej chwili jął odnosić się do Smoleńska jako do przejściowego tylko etapu, który należało zająć niezwłocznie, jakimkolwiekby koszt. Lecz Murat, ostrożny i przezorny ilekroć nie działała nań bezpośrednio obecność nieprzyjaciela, nie mogąc zresztą brać żadnego udziału w projektowanym szturmie, starał się odwieść cesarza od tego zamiaru.

Równie gwałtowny wysiłek wydawał mu się zbędnym, skoro Rosyanie ustępowali bez walki. Co się zaś tyczyło dalszego pościgu — był mu najzupełniej przeciwny: „Skoro niechcą bitwy, nie warto ich ścigać dalej, a wielki już czas zatrzymać się“.

Nieznany jest dalszy przebieg rozmowy. Słyszano jednak, jak opowiadał później król neapolitański, iż rzucił się do nóg bratu i błagał go o zaniechanie pościgu, lecz że Napoleon Moskwę, jeno miał przed oczyma, w Moskwie — która będzie naszą zgubą — obiecywał sobie znaleźć zaszczyty, sławę i wypoczynek“.

Pewnym natomiast jest fakt, że bezpośrednio po burzliwej rozmowie ze szwagrem, zaspioną i pobladałą twarz Murat'a nosiła ślady cięż-

kiej zgryzoty; gwałtowne ruchy i powtarzana kilkakrotnie nazwa Moskwy — dopowiedziały reszty.

Na lewym brzegu Dniepru, w miejscu, skąd Belliard dostrzegł cofające się szeregi rosyjskie, ustawiono potężną baterię. W odpowiedzi — Rosyanie wytoczyli dwie baterie, liczniejsze i potężniejsze od naszych, druzgocąc co i raz celnymi strzałami nasze armaty, wysadzając w powietrze pękające z hukiem jaszczyki. W owo piekło — dymami zasnute, ogniem ziejące — zwrócił konia król neapolitański i stał bez ruchu, pod gradem kul i kartaczy, mimo gorących próśb Belliarda. Zwątpił już snąć o wszystkim, a przewidując bliską klęskę, szukał śmierci, ażeby uniknąć poniżenia i sromu. Wówczas Belliard zwrócił uwagę jego na to, iż przez szalony upór swój naraża na niechybną zgubę tych wszystkich, którzy mu towarzyszyli. „Wracajcie zatem—odparł Murat— i zostawcie mnie samego“. Lecz gdy nikt nie drgnął nawet, król — choć gniewny i rozżalony — opuścił wreszcie to krwawe pole śmierci.

Wydano właśnie rozkaz szturmowi na całe linie. Ney atakować miał cytadelę; Davout i Lobau — przedmieścia, osłaniające mury miejskie. Poniatowski, stojący tuż nad Dnieprem, posunąć się miał z sześćdziesięciu działami w dół rzeki, do nadbrzeżnego przedmieścia, zburzyć mosty i odciąć załozę odwrót. Równocześnie, Napoleon rozwalić chciał główne mury przy pomocy artylerii gwardyi, która rozporządzała jedynie dwunastocalowemi, czyli nie dość silnemi działa-

mi. Artylerya nie usłuchała wszakże rozkazu; prażąc natomiast nieustannym ogniem kryte przejścia, oczyściła je zupełnie.

Wszystko powiodło się, prócz ataku Ney'a, który właściwie najważniejszą powinien był odegrać rolę, a którego nie poparto należycie. Nieprzyjaciel, zewsząd osaczony, cofnął się w popłochu w obręb murów, ginął każdy, kto nie zdążył schronić się pod osłonę dział fortecznych, lecz podczas tego szturm, śladem atakujących pułków naszych, krwią czerwoną spłynęła ziemia, tysiące oczu zawarło się na wieczny sen.

W jednym z bataljonów, który zwrócił się był flankiem do baterji rosyjskich, od jednego kartacza padło odrazu dwudziestu dwóch ludzi.

Tymczasem armia, rozlokowana amfiteatralnie na pobliskich wzgórzach, przyglądała się w zbożnem milczeniu swoim dzielnym towarzyszom broni; lecz gdy ujrzała ich jak biegli do ataku wśród świstu i warkotu kul — nieustraszeni, chwały żądni i boju — nieopisany zapal ogarnął płomieniem wszystkie serca: zerwała się burza oklasków. A echo tej radosnej wrzawy obilo się aż o uszy walczących, niosąc im hołd za trudy i przelaną krew. I, jakkolwiek wielkimi były straty, jakkolwiek w jednej tylko brygadzie — brygadzie Dalton'a — i wśród kanonierów Reindre'a — padł generał, pięciu szefów batalionu i tysiąc pięciuset ludzi, ci jednak, którzy pozostali przy życiu, mówili nieraz, że dosłyszany wówczas rozgłośny objaw uznania i podziwu wynagrodził ich sowicie za wszystko, co wycierpieli.

Zdobycie <http://kz.in.org.pl> i fortów zewnętrznych

dozwoliło szeregom naszym schronić się przed strzałami dział fortecznych. Strzelanina wszakże nie ustawała; ciągly huk wstrząsał powietrzem. Wreszcie cesarz, znużony, zaprzestać chciał walki, lecz Davout usilnemi namowy nakłonił go do ponownego ataku. Tym sposobem, powtórzona została przez całą armię karygodna przewina Ney'a: pierwsza pozbawiła życia czterystu ludzi, druga—pięć do sześciu tysięcy.

Wraz z nadejściem nocy, Napoleon usunął się do swego namiotu, który rozbito tym razem w bezpiecznem miejscu — a hr. de Lobau, który uprzednio zajął był fosse, lecz nie mógł utrzymać się przy niej, bombardować zaczął miasto, aby zmusić nieprzyjaciela do ucieczki. Ujrzano wtedy, w kilku naraz punktach, wznoszące się słupy czarnego dymu, później snopy iskier, wreszcie krwawą czerwień licznych płomieni. Niebawem, skłębione morze ognia załało Smoleńsk; gorzało całe miasto; ze złowieszczym traskiem walily się płonące budowle.

Mniemając, iż jest sprawcą pożaru, hr. de Lobau spoglądał z trwogą na rzekome dzieło swoje. Nieco dalej, wsparty o poręcz ustawionego przed namiotem krzesła, cesarz przypatrywał się w milczeniu rozszalałemu żywiołowi. A że niewiadoma była zarówno przyczyna jak i ostateczny wynik pożaru, przeto spędzono całą noc pod bronią.

Okolo godziny trzeciej zrana, pod-oficer z korpusu Davout'a przypelznął do muru i wdrapał się nań cichaczem. Ośmielony panującą wszędzie ciszą, ruszył ku miastu pierwszą z brze-

gu ulicą. Wtem ozwało się kilka głosów, o wybitnie słowiańskim akcencie i Francuz, zaskoczony z nienacka — poleciał już duszę Bogu. Lecz dzienny brzask oświetlił znane mu i przyjazne twarze Polaków Poniatowskiego, którzy zajęli pierwsi miasto, opuszczone przez Barclay'a.

A gdy usunięto wreszcie gruzy i otwarto bramy Smoleńska, przy dźwiękach kapeli, hardo i buńczucznie mijał pulk za pulkiem krwawe i dymiące żgliszcza! Było to widowisko bez spektatorów, bezowocne zwycięstwo, krwią zbryzgane, pożarnymi dymami osnute wawrzyny!

Po okupacyi miasta i całkowitem niemal ugaszeniu pożaru, wobec niezbitych dowodów, które przekonały cesarza, iż zarówno tutaj jak nad brzegami Niemna, jak pod Wilnem i Witebskiem, zwodnicza wizya zwycięstwa — ponętna a nieuchwytna — raz jeszcze uszła ręk jego, Napoleon postanowił ścigać ją w dalszym ciągu.

Nieco powyżej Smoleńska, trakt, wiodący do Petersburga, nagle oddalał się od rzeki; dwie błotniste drogi — jedna w odległości dwóch, druga — czterech mil od Smoleńska — przecinały go z prawej strony i, zakreśliwszy wielkie kolisko, poprzez rozległe lasy, łączyły się z traktem moskiewskim; jedna w Bredyszynie, o dwie mile od Walutyny, druga dalej jeszcze — w Słobniewie.

Przez jary te i wąwozy nie wahał się uciekać generał Barclay. Długa i ciężka kolumna jego, obciążona nadto setkami wozów i furgonów, musiała tedy przebyć oba łuki koliska, którego ciężką była droga ze Smoleńska do Moskwy, zaatakowana niebawem przez Ney'a. Tysiące drob-

nych a nieuniknionych przeszkód — przewracając się wóz, grzęznący w błocie koń, lub zerwana uprząż — zatrzymywało co chwila cały pochód. Równocześnie, ryk dział francuskich coraz bliższy był, coraz wyraźniejszy; zdawał się niekiedy wyprzedzać kolumnę rosyjską, rozlegać się grzotem u wylotu wąwozu, który przebywały właśnie pułki Barelay.

Wreszcie, po uciążliwym marszu, czoło kolumny rosyjskiej wydostało się na trakt, podczas gdy Francuzi mieli jeszcze do zdobycia wyżynę Walutyny i przejście przez Kołowdnię. Ney zajął przebojem przejście przez Stubnię, lecz Korff — zmuszony cofnąć się ku Walutynie — przyzwał na pomoc poprzedzającą go kolumnę. Kolumna ta, bezładna, przez lichego prowadzona dowódcę — wahała się podobno; dzięki jednak perswazyom i wpływom Woroncewa, który oceniał należycie doniosłość utraconej pozycji — zawróciła wstecz.

Rosyanie bronili się, aby ocalić działa rannych i bagaże. Francuzi atakowali w celu zagarnięcia wszystkiego. Napoleon zatrzymał się w odległości półtorej mili od Ney'a. Sądząc, iż tocząca się walka jest jeno utarczką przednich straży, wysłał Gudin'a dla poparcia marszałka, sam zaś zebrał pozostałe dywizye i powrócił do Smoleńska. Tymczasem utarczka przemieniła się niebawem w walną bitwę, w której kolejno brało udział przeszło trzydzieści tysięcy ludzi. Bili się wszyscy bez wyjątku: generałowie pospołu z żołnierzem. Walka krwawa była i zaciekła a przeciągnęła się do późnej nocy. Zdobywszy wreszcie wzgórze, kosztem wielu ofiar, osłabły, krwią zla-

ny, otoczony zewsząd stosami trupów i rannych których jęki i żalosne skargi rozlegały się ponuro wśród nocnych mroków,—Ney kazał zaprzestać strzałów. Milczące szeregi nastawiły ostrza bagnetów. Rosyanie, zdumieni nagłą ciszą, umilkli również i cofnęli się powoli pod osłoną nocy.

Porażka ich oniemał równie chlubną była, jak nasze zwycięstwo. Obaj wodzowie spełnili swój obowiązek: jeden zwyciężył, drugi został wprawdzie pokonany, zdołał jednak uratować artylerię, bagaże i rannych.

Jeden z generałów rosyjskich, samotny w pośrodku tego krwawego pola śmierci, usiłował wydostać się z pomiędzy naszych szeregów, powtarzając słowa francuskiej komendy; poznano go wszakże przy odblasku nieustannych wystrzałów i wzięto do niewoli. Zginęło wielu wybitnych oficerów rosyjskich, lecz Wielka Armia stokroć cięższą poniosła stratę. Przy przejściu źle naprawionego mostu na Kołodni, w chwili, gdy generał Gudin, którego rozumne męstwo unikało bezcelowego narażania się, który zresztą nie żywił do koni zbyt wielkiego zaufania, zsiadał ze swego wierzchowca, zabłąkany tuż przy ziemi kartacz urwał mu obie nogi. Gdy smutna ta wiadomość doszła do cesarskiej kwatery, szczerzy żal ścisnął wszystkie serca; ustały narady i zwykle kancelaryjne czynności; żałobny cień padł na odniesione pod Walutyną zwycięstwo.

Rannego Gudin'a przewieziono do Smoleńska i najtroskliwszą otoczono opieką. Sam cesarz czuwał u jego łoża. Lecz, mimo starań i troskliwości, generał wkrótce życia dokonał. Zwłoki

jego zostały pochowane w obrębie cytadeli, w grobowcu, godnym walecznego żołnierza, dobrego obywatela kraju, zacnego męża i ojca, zdolnego generała, który równie sprawiedliwym był, jak łagodnym, równie uczciwym, jak zręcznym; zalety cenne, a nader rzadko kojarzące się wśród społeczeństw, w których zręczność wyklucza najczęściej uczciwość!

Przypadek zdarzył, iż godnego pozostawił po sobie następcę; Gérard, najstarszy w dywizyi generał brygady — objął dowództwo, a nieprzyjaciel, który nie dostrzegł poniesionej przez nas bolesnej straty, nie zyskał nic na śmierci nie-szczęsnego Gudin'a.

Rosyanie, zdumieni taktyką Francuzów, atakujących jedynie czoło kolumny rosyjskiej, mniemali, iż kombinacye militarne Murat'a polegały jedynie na usilnem posuwaniu się w głąb kraju traktem przez nich zajęтым. Przewalili go też urągliwie „Generałem dróg i traktów” — zapominając, że niejednokrotnie fakty wprowadzają raczej w błąd, aniżeli uczą i oświecają.

W rzeczy samej, równocześnie z akcją Ney'a, Murat usiłował napróżno dotrzeć do flanków nieprzyjacielskich: z lewej strony—gęsty las, z prawej—trzęsawiska, broniły dostępu do traktu. Obaj jednak czekali niecierpliwie na wyniki marszu flankowego Westfalczyków, którymi dowodził Junot.

Począwszy od Stubni, omijając trzęsawiska utworzone przez rozmaite drobne dopływy Dniepru, trakt skręcał na lewo, ku wyżynie, zdala od rzeki, do której zbliżał się znów nieco dalej.

Istniała nadto boczna droga, mniej wprawdzie wygodna, lecz znacznie bliższa, przecinająca ową bagnistą przestrzeń pomiędzy Dnieprem a traktem, z którym łączyła się w pobliżu wzgórz Walutyny.

Tą właśnie boczną drogą nadciągał Junot, przepawiwszy się przez Dniepr w Prudziszach. Dopadł niebawem tyłów lewego skrzydła rosyjskiego oraz flanku nadbiegającej z odsieczą kolumny. Śmiały atak byłby niewątpliwie przechylił w owej chwili szalę zwycięstwa na naszą stronę. Słyszając poza sobą strzały i wrzawę, Rosyanie byliby utracili pewność siebie; nieobliczalnymi zaś byłyby skutki popłochu—jeśli zważymy niewielką przestrzeń i tłoczące się na niej setki ludzi, koni i wozów. Lecz Junot, waleczny jako żołnierz, chwiejnym był wodzem; przestraszyła go ciężąca na nim odpowiedzialność.

Tymczasem, pewnym będąc nadejścia Westfalczyków, Murat dziwił się niepomiernej ciszy, panującej na tyłach rosyjskich. Wszelako opór, stawiany przez czoło kolumny nieprzyjacielskiej, coraz wyraźniej potępiał Junot'a. Przedzierając się samotrzeć przez lasy i bagna, król neapolitański bieży wówczas do Junot'a i gorzkie czyni mu wymówki. Junot usprawiedliwia się, twierdząc: „że nie otrzymał rozkazu atakowania; że powolna i ciężka jazda wirtemberska symuluje jeno szarżę; że wobec tego wątpliwym byłby ostateczny rezultat walki”.

Murat odpowiada czynami na puste frazesy generała. Staje osobiście na czele Wirtemberczyków, własnym pociąga ich przykładem, wła-

snem męstwem zagrzewa, prowadzi w ogień, a rozbiwszy szeregi jeńców rosyjskich, zwraca się do Junot'a z temi słowy: „Dokończ teraz dzieła; tam sława twoja i marszałkowska buława”. Lecz po odjeździe Murat'a, Junot, oszołomiony—stał znów beczynnym. Ulegając całkowicie w ciągu długich lat przemożnemu wpływowi Napoleona, którego genialny umysł obejmował wszystko i o wszystkim pamiętał, do ślepego jeno nawykł posłuszeństwa; zbywało mu na determinacyi i doświadczeniu; pozatem, nieustanne trudy i liczne rany stargały przedwcześnie siły jego i zdrowie.

Wybór Junot'a na komendanta korpusu nie dziwił wszakże nikogo: wiedziano powszechnie, że cesarz lubił go i przywykł do niego jako do najdawniejszego swego adjutanta, że ze względu na przeżyte razem dni szczęścia i chwały, niechętnie byłby się z nim rozstał. Możliwym jest, iż równocześnie pochlebiał miłości własnej cesarza widok uczniów jego na stanowisku samodzielnych wodzów. Niewątpliwie zresztą, bardziej mógł ufać im i więcej na nich polegać, aniżeli na innych — mniej wypróbowanych — oficerach swoich i generałach.

Niemniej jednak, gdy oglądał nazajutrz pobojowisko, a ujrzawszy most na którym padł Gudin—zauważył, iż nie tam powinny były ukazać się pułki francuskie; gdy ogarnął następnie palającymi oczyma pozycyę, którą zajmował Junot groźnie ściągnęły się brwi cesarza, z ust jego wartkim potokiem gniewne popłynęły słowa: „Tu zapewne mieli atakować Westfalczycy! Od tej po-

zycy zależały losy całej bitwy! Co u licha robił tutaj Junot?”—W uniesieniu niepohamowanej irytacji, przyzwać kazał niezwłocznie Rapp’a i oświadczył wobec niego: „że odbiera ks. d’Abrantès powierzone mu dowództwo i usuwa go z armii! że bezpowrotnie utracił Junot marszałkowską buławę! że popełniona przezeń omyłka zamknęła prawdopodobnie drogę do Moskwy! że na miejsce Junot’a mianuje komendantem korpusu Westfalczyków jego, Rapp’a, pragnąc, aby corychlej poprowadził ich do boju!”—Lecz Rapp nie przyjął ofiarowanego mu dowództwa, a rozumną perswazją zdołał uspokoić wkrótce cesarza. Gniew Napoleona bywał zresztą zazwyczaj krótkotrwały, zwłaszcza, jeżeli wybuchał gwałtownie i wyładować się mógł w słowach.

Prócz lewego skrzydła rosyjskiego, które omal, iż nie zostało rozbite, prawe skrzydło na większe jeszcze narażone było niebezpieczeństwo. Marand, jeden z generałów korpusu Davout’a, wysłany w tym kierunku poprzez lasy i lesiste wzgórza, od początku rozprawy znajdował się na flanku kolumny nieprzyjacielskiej. Jeszcze kilka kroków, a byłby dopadł tyłów prawego skrzydła rosyjskiego. Wówczas zaś rozstrzygnęłyby się niewątpliwie losy bitwy. Lecz Napoleon, nieświadom terenu, kazał mu cofnąć się na pozycję zajmowaną pierwotnie przez niego i przez Davout’a.

Zastanawiano się w szeregach, dlaczego tam, gdzie czynnych było trzech wodzów, wzajemnie od siebie niezależnych, cesarz nie stanął na ich czele, aby wytworzyć akcję jednolitą, nie-

możliwą do urzeczywistnienia bez jego współudziału. Lecz cesarz powrócił już był do Smoleńska, bądź to z powodu znużenia, bądź też, iż nie spodziewał się równie zacieklej walki, bądź też wreszcie—że zmuszony zajmować się równocześnie wszystkim i o wszystkim pamiętać, nie mógł podolać nadmiarowi pracy. W rzeczy samej, z konieczności zaniedbywane, mnożyły się z dniem każdym zarówno wewnętrzne interesa cesarstwa jak i sprawy ogólnoeuropejskie. Trzeba więc było przeglądać akta i papiery, załatwiać sprawy cywilne i polityczne, nieco już zagmatwane; zatem, nazwa Smoleńska—umieszczana obok daty—schlebiała miłości własnej cesarza.

To też, gdy Borelli—pomocnik szefa w sztabie Murat'a—przywiózł wieści o starciu pod Walutyną, cesarz wahał się, czy wogóle przyjąć go i tak dalece pochłonięty był pracą, że tylko dzięki interwencji jednego z ministrów, Borelli dopuszczony został do kwatery cesarskiej. Złożony przezeń raport poruszył do głębi Napoleona: „Czy być może?—zawołał — nie jesteście zatem dość liczni?.. Sześćdziesiąt tysięcy ludzi! Ależ to nie utarczka, lecz bitwa!”—I gromić jął porywczą samowolę i bezczynność Junot'a. Wtedy Borelli uwiadomił go o śmiertelnej ranie Gudin'a. Szczerym i serdecznym był żal Napoleona; prawdziwym współczuciem dźwięczał głos jego, zwilgotniały źrenice. Wkrótce jednak, z właściwą mu siłą charakteru, opanował żal i niepokój, stłumił gniew. Wobec zapadającego zmierzchu, odroczył do następnego dnia troskę o przebieg bitwy, zabierając się ze zdwojoną gorliwością do przerwa-

nej pracy. Lecz snąć dręczyła go myśl o bliskiej bitwie, gdyż nazajutrz, wraz z dziennym braskiem, ukazał się na polach Walutyny.

Stali tam żołnierze Ney'a i osierocona dywizya Gudin'a—wśród drzew napoły zdruzgotanych, na podłożu bratnich i nieprzyjacielskich trupów, na ziemi zdeptanej nogami, pooranej przez kule i kartacze, pstrej od krwawych kałuż, od szczątków ludzkich, od poszarpanej odzieży, strzaskanej broni, poprzewracanych i połamanych dział. Takimi bowiem są trofea wojenne; takim tylekroć sławione piękno pobojuwisk!

Zdziesiątkowane bataliony Gudin'a z dumą prezentowały broń, płomieniem gorzały wszystkie oczy. Unosiła się jeszcze nad niemi ostra woń prochu, woń, którą przesiąknięta była ziemia, mundury żołnierzy i twarze ich, czarne od potu i sadzy. Idąc wzdłuż frontu, cesarz zmuszony był co chwila omijać lub deptać połamane i pogięte od gwałtownego natarcia bagnety i skostniałe, sztywne już zwłoki ludzkie.

Blaskiem sławy pokrył jednak wszystkie te okropności. Wdzięczność jego przeobraziła to straszliwe pole śmierci w pole chwały i tryumfu. Oddana została cześć męstwu i wierności.

Niewątpliwie, należały się tym walecznym nagrody i słowa uznania. Nigdy też wzrok cesarza nie był bardziej dobrotliwym, bardziej łaskawemi słowa jego: „Bitwa ta stanowi najpiękniejszą kartę w dziejach walk naszych i zwycięstw; na czele żołnierzy takich, jak wy, podbić można świat cały; ci zaś, którzy polegli, nieśmiertelną zdobyli chwałę”.—Mówiąc to, wiedział dobrze, że

zwłaszcza w dniach klęski i pogromu dusza ludzka zwraca się najchętniej ku temu, co wieczyste jest i nieśmiertelne.

Obficie posypały się nagrody. 12-ty, 21-szy i 127-my pułk piechoty liniowej, oraz 7-my pułk lekkiej jazdy — otrzymały osiemdziesiąt siedem krzyżów i awansów. Były to regimenty Gudin'a. 127-my pułk nie miał jeszcze dotychczas „orłów”, gdyż w owym czasie każdy sztandar musiał być zdobyty na polu bitwy, na dowód, iż następnie pułk potrafi strzedz go i bronić. Osobiście wręczył cesarz pułkownikowi złotego „orła”. Nagroził również korpus Ney'a.

Sposób rozdawania nagród zwiększał w dwójnasób istotną, niezaprzeczoną ich wartość. Kolejno, każdy pułk stawał się niejako rodziną cesarza, zwartem otaczał go koliskiem. Cesarz interpelował głośno oficerów, podoficerów i żołnierzy, wypytywał się o najwaleczniejszych z pośród tych walecznych, lub o najbardziej przez los faworyzowanych i rozdawał natychmiast krzyże i awanse. Każdy zaś krzyż, każdy awans, witany oklaskami, był wyrazem uczuć całego pułku.

Ojcowski ton przemówień tego władcy świata, który odnosi się do prostych żołnierzy, jak do bliskich sercu towarzyszy broni; obejście, pełne prostoty, przypominającej nieodżałowane czasy Republiki — wszystko to wzbudziło w szeregach niewypowiedziany zapal. Był to zapewne monarcha, lecz monarcha, który wyszedł z łona Rewolucyi, monarcha—parweniusz, który rozdawał hojną dłonią godności i tytuły, który był ucieleśnionym symbolem życiowej siły i energii.

Nigdy może pole walki równie wielką nie zajaśniało chwałą. Dar owego sztandaru, krwią okupionego, uroczyste wręczanie nagród, radosne okrzyki, słuszna duma wyróżnionych przez cesarza żołnierzy, słowa uznania i podziwu, podchwyczone skwapliwie przez zasluchaną i zapatrzoną Europę, uwiecznione w biuletynach, które czytane będą chciwie przez wszystkie narody, zwłaszcza zaś hen, daleko, pod błękitnem niebem Francyi, przez matki, żony i siostry — ileż było w tem głębokiej, z niczem nie dającej porównać się radości. Potężnie też dźwięczał zwykły, do dziś niezapomniany okrzyk: Niech żyje cesarz! — Początkowo nawet sam Napoleon uległ ogólnemu uniesieniu.

Lecz gdy minęła pierwsza upojna chwila, gdy wysłuchał raportów Ney'a, Murat'a i Poniatowskiego, który równie szczerzy był i roztropny w naradzie, jak mężny w boju; gdy dowiedział się, że wysłany za nieprzyjacielem pościg ujechał na próżno osiem mil, rozwiały się wówczas złudzenia, ostała jeno szara i twarda rzeczywistość. W powrotnej drodze do Smoleńska, niedogodność jazdy w powozie, chyboczącym się co chwila wskutek wyboi i porozrzucanych wszędzie, okropnych szczątków walki; widok żalobnej procesyi okaleczonych postaci, które wieziono lub też, które wlokły się z trudem, przy wtórze skarg i jęków; w samym wreszcie Smoleńsku, wymijanie wózków napełnionych po brzegi odciętemi po szpitalach członkami, wszystko to, co straszliwem jest i ohydnyem zdała od pola walki — zgnębiło go do reszty. Smoleńsk cały był jednym, olbrzymim szpitalem, a unoszący się ponad miastem

jęk bólu zagłuszył całkowicie radosne okrzyki, które dźwięczały jeszcze nad wzgórzami Walutyny.

Sprawozdania lekarzy brzmiały ponuro: w Rosyi, zamiast wina i koniaku używana jest powszechnie wódka, z ziarna pędzona, z domieszką mniej lub więcej odurzających ziół. Owóz młodzi żołnierze nasi, zmożeni głodem i trudami, sądzili, iż zdradziecki ten napój doda im sił; wkrótce jednak, gdy opadło chwilowe podniecenie, wielu z pośród nich ciężko zaniemogło.

Inni, mniej wstrząśniętymi lub też może słabsi, półprzytomni, senni, przysiadali wzdłuż drogi w rowach, na kamieniach i, spoglądając dookoła osłupiałym, bezmyślnym wzrokiem, oczyma, lśnąciami od łez, konali cicho, bez jęku.

W Wilnie szpitale pomieścić mogły tylko sześć tysięcy chorych. Cierpiące, okaleczale tłumy gnieździły się tedy gdzie kto mógł: w kościołach, klasztorach, w synagogach i starych śpichlerzach miejskich. W przygodnych tych przytułiskach, które częstokroć były niezdrowe, stałe zaś przepelnione, chorym zbywało na wszystkim: na lekarstwach, na łózkach i pościeli, niekiedy nawet na pożywieniu i na garści słomy. Liczba lekarzy niedostateczna była, a warunki leczenia tak opłakane, że zamiast wygasać choroby szerzyły się coraz bardziej.

W Witebsku, Rosyanie pozostawili czterystu swoich rannych na pobojuwisku, trzystu — w mieście; a ponieważ uszli wraz z armią wszyscy niemal mieszkańcy, przeto w ciągu trzech dni ci nieszczęśliwi konali wśród najokropniejszego zaduchu, wszelkiego pozbawieni ratunku; żywi pospo-

łu z trupami. Później dopiero przeniesiono pozostałych przy życiu do naszych ambulansów. Ażeby opatrzyć im straszne, zaropiałe rany — chirurdzy nasi podrzeć musieli na bandaże własne i żołnierskie koszule, brakowało już bowiem środków opatrunkowych, zwłaszcza szarpi i płótna.

A gdy wreszcie podgoiły się rany tych nie-szczęśników, gdy odpowiednie odżywianie się mogło przywrócić im najzupełniej utracone siły i zdrowie — ginęli wówczas z głodu. Mało kto ocalał, bez względu na to, czy był Francuzem czy też Rosyaninem. Ci, którym utrata członka albo osłabienie nie dozwalało ukraść lub wyprosić nieco jadła, wymierali pierwsi. Okropne te sceny powtarzały się wszędzie, gdzie cesarz był nieobecny, gdyż w ślad za nim podążało wszystko, a jedynie pod jego nadzorem ściśle spełniane były wszelkie w tym kierunku zarządzenia i rozkazy.

Zdawało się, iż w Smoleńsku szpitali było poddostatkiem. Uratowano od ognia piętnaście obszernych murowanych budynków; znaleziono dość znaczne zapasy wódki, wina i lekarstw; nadsięgnęły również zapasowe nasze ambulanse. Niebawem jednak zabrakło i miejsca i lekarstw i rąk do pomocy. Lekarze pracowali bez wytchnienia, lecz wkrótce niebyło już czem opatrywać rannych: zamiast płótna używać musiano papieru, zamiast szarpi — pakuł i brzożowego лыka.

Działy się rzeczy straszne. Między innymi, zapomniano o szpitalu, w którym stu rannych borykało się ze śmiercią. Przypadek jedynie odsłonił po trzech dniach tę otchłań nędzy i niedoli.

Dziś jeszcze, mimo ubiegłych lat, wzdrygam się na wspomnienie tych scen, grozą przejmujących; takie bowiem wrażenia ryją w duszy ludzkiej głębokie, niczem niezatarte bruzdy. Wydelegowany ze sztabu generał Rapp nie oszczędził Napoleonowi żadnych, najkropniejszych nawet szczegółów. Cesarz napoić kazał własnem winem i obdarować złotem wyrwanych z tego piekła żołnierzy, którzy oparli się zwycięsko śmierci bądź to dzięki silnemu organizmowi, bądź też dlatego, że podtrzymywali gasnące życie ohydną, trudną do nazwania strawą.

Lecz oprócz silnych wzruszeń, jakich doznawał cesarz, słuchając składanych mu raportów, sercem jego targaly inne uczucia, inne niepokoje i wątpliwości. Według niego, pożar Smoleńska nie był dziełem przypadku — fatalnym a nieprzewidzianym, nie był nawet czynem, zrodzonym z rozpacz, lecz wynikiem spokojnej i chłodnej determinacyi. Niszcząc i burząc, Rosyane dokładali tych samych starań, tego samego przestrzegali ładu i porządku, jakiego przestrzega się zazwyczaj w celach i ochrony konserwacyi.

Tegoż dnia śmiało odpowiedzi popa, jedyne, który pozostał w Smoleńsku, uświadomiły jeszcze lepiej cesarza o nieprzejednanej nienawiści, jaką pałał ku nam cały lud rosyjski. Popa owego przywiódł przed oblicze cesarza przyboczny jego tłómacz, przerażony ujawniającą się na każdym kroku niechęcią.

Cesarz wysłuchał go cierpliwie; wreszcie zapytał: „Czy kościół proboszcza splonął również?” — „Nie, Najjaśniejszy panie — odparł pop. Bóg — po-

tężniejszy będzie od Waszej Ces. Mości i opieką swoją otoczy kościół, albowiem w murach jego znaleźli schronienie nędzarze, których pożar pozbawił dachu". — Napoleon, wzruszony, odpowiedział: „Masz rację, księże. Bóg czuwać będzie nad niewinnymi ofiarami wojny i nagrodzi Cię za Twoją odwagę. Wracaj zatem, dobry duszpasterzu, do twoich owieczek. Gdyby wszyscy księża byli poszli za twoim przykładem; gdyby nie byli sprzeniewierzyli się nikczemnie danemu im od Boga posłannictwu, misji zgody i miłości; gdyby nie byli opuścili świątyń, nietykalnych pod ich strażą, żołnierze moi byłiby niewątpliwie uszanowali kościoły wasze i ołtarze. Wszak jesteśmy wszyscy chrześcijanami, a Bóg jest jeden”!

Z temi sławy, pod eskortą, odprowadzić kazał popa do owej cerkwi. Na widok żołnierzy, otwierających cerkiewne wrota, rozległy się przerażliwe okrzyki. Oszałały z trwogi tłum kobiet i dzieci jął cisnąć się z płaczem do stóp ołtarzy. Wówczas ozwał się donośny głos księdza: „Uspokójcie się! Widziałem Napoleona i rozmawiałem z nim! Haniebnie oszukano nas, dzieci moje! Cesarz Francuzów nie jest takim, jakim nam go odmalowano! Zarówno on, jak i jego żołnierze wyznają tego samego Boga — co i my. Tocząca się wojna nie jest bynajmniej wojną religijną, lecz politycznym zatargiem z carem naszym. Żołnierze Napoleona walczą jedynie z naszymi żołnierzami. Nie krzywdzą i nie mordują ani starców, ani kobiet ani też dzieci. Uspokójcie się przeto; wszyscy zaś podziękujmy Bogu, iż uwolnił nas od przykrego obowiązku nienawiści do Francu-

zów, jako pogan, bezbożników i podpalaczy!” — Na to wezwanie, z setek rozszlochanych piersi buchnęła ku niebu dziękczynna pieśń i dźwięczała długo pod mrocznem sklepieniem starej cerkwi.

Drobne to zdarzenie najlepszym jest dowodem jak dalece okłamywany i oszukiwany był naród. Wszyscy niemal mieszkańcy Smoleńska uszli wraz z wojskiem. Odtąd więc nietylko armia, lecz i ludność, lecz cała Rosya, cofała się przed nami. A wraz z ludnością, ubywał jeden z najpotężniejszych, najżywotniejszych czynników podboju.

Istotnie, z Witebska jeszcze, próbował Napoleon przeniknąć duszę tego ludu, pragnął bowiem pozyskać go dla idei wolnościowej i zespolić z własną swoją działalnością przez zorganizowanie mniej lub więcej ogólnego powstania. Lecz wszelkie próby agitacyi rozbijały się o nieufność nielicznych chłopów, pozostawionych przez Rosyan. Jedynym zaś wynikiem owych usiłowań było ujawnienie skrytych zamiarów cesarza, przeciw którym Rosyanie odpowiednio się zabezpieczyli.

Napoleon zresztą — sprzyjający raczej głowom ukoronowanym, aniżeli szaremu tłumowi — odrazu niechętnie i niedbale odnosił się do tej sprawy.

Na wieść o zbliżaniu się Napoleona, przeczorna szlachta cofnęła się razem z chłopstwem w głąb kraju, paląc i niszcząc wszystko, co miało jakąkolwiek wartość lub też mogło być przez nas zużytkowane. Śladem jej — wśród bezmiernych, opustoszałych przestrzeni — szedł głód i pożoga.

Cesarz wówczas dopiero zdaje sobie należyce sprawę z ogromu zamierzonego przedsięwzięcia; im bardziej zaś posuwa się w głąb kraju, tem bardziej rosną i olbrzymieją rozmiary tego przedsięwzięcia. Do niedawna zwycięstwa, odnoszone nad monarchami, których przerastał o głowę — dziecinną nieledwie były igraszką. Teraz jednak walczy nie z monarchą, lecz z całym narodem i wobec tej drugiej Hiszpanii, leżącej u kresów Europy, bezpłodnej, nawpół dzikiej — zdumiony, waha się i zatrzymuje.

Bez względu na charakter decyzji, powiętej w Witebsku, zajęcie Smoleńska stało się niejako koniecznością. Możliwem jest, iż w Smoleńsku właśnie zamierzał cesarz rozstrzygnąć ostatecznie o dalszych losach kampanii. Lecz tutaj również — po raz wtóry — waha się i wątpi. Pożar miasta, szerzące się choroby, tłumy rannych, straszliwe, grozą przejmujące sceny — wszystko to zwiększa jeszcze wewnętrzną jego rozterkę. Zgorączkowany, spogląda kolejno na Kijów, Petersburg i Moskwę.

Przez zdobycie Kijowa, którego bronił korpus Czyczagowa, cesarz byłby oswobodził prawy flank i tyły Wielkiej Armii i osłonił prowincye polskie, dostarczające największej ilości ludzi, koni, strawy i furazu; warowne zaś obozy w Mohylowie, Smoleńsku, Witebsku, Połocku, Dynaburgu i Rydze — stanowiłyby dostateczną linię obronną. Pod osłoną tej linii, podczas zimowych miesięcy, zorganizowałby ogólne powstanie wszystkich ziem dawnej Rzeczypospolitej, aby wraz z nadejściem wiosny przeciwstawić je Rosyi. Tym sposobem szanse

wojny byłyby, mniejwięcej, równe: naród walczyłby z narodem.

W Smoleńsku stanął jednak na rozstaju dwóch dróg: drogi do Petersburga i drogi do Moskwy, w odległości dwudziestu dziewięciu dni marszu od jednej stolicy, a piętnastu od drugiej. Petersburg, jako ośrodek rządu, jako centrum wszystkich organów państwowych, jako mózg Rosyi, morski i lądowy arsenał kraju, wreszcie jako jedyny łącznik pomiędzy Rosyą a nienawistną cesarzowi Anglią — bardziej był pożądanym. Świeże wieści o zwycięstwie pod Połockiem przemawiały również za tym projektem. Łącznie z korpusem Saint-Cyr'a, cesarz osaczyłby Wittgenstein'a i ułatwił Macdonald'owi zajęcie Rygi.

Moskwa zaś — serce Rosyi — nęciła swymi bogactwami, złotem licznych kopuł cerkiewnych, pałacami wielkich rodów rosyjskich, nienaruszoną dotychczas tradycją ubiegłych stuleci. Droga do Moskwy, krótka, mniej niebezpieczna, a bardziej zasobna, broniona na znacznej przestrzeni przez cofające się wciąż pułki rosyjskie, łudziła nadto nadzieją walnej rozprawy i zwycięstwa. Ugodzony w samo serce — naród rosyjski zmuszony byłby zaniechać dalszego oporu.

Mimo nadciągającej jesieni, z tych trzech projektów ostatni tylko wydawał się cesarzowi możliwym do urzeczywistnienia. Znane mu były wszelako dzieje Karola XII-go: nie w opracowaniu Woltera, które cesarz odrzucił z gniewem, twierdząc, iż zbyt romantyczne jest i z prawdą niezgodne, lecz pod postacią pamiętników, pióra Adlerfeld'a. Zawarta w książce tej przestroga

przebrzmiała jednak bez echa. W zestawieniu obu kampanii, cesarz wynajdywał tysiące różnic i na tych to różnicach opierał chwiejny gmach planów swoich i nadziei. Któż bowiem może być sędzią we własnej swojej sprawie? I jakąż ma wartość przykład, wzięty z przeszłości, w świecie, w którym nie spotyka się nigdy jednakowych dwóch ludzi, jednakowych dwóch spraw, ani też sytuacji?

A jednak, w owym czasie, częstokroć wspominał Napoleon Karola XII-go!

Lecz, podobnie jak w Witebsku, nadsyłane zewsząd wieści działały nań podniecająco. Bitwy pod Mohylewem, Mołodeczną i Walutyną były walkami rozprawami, a zwycięscy generałowie — Davout, Szwarzenberg i Ney — nową okryli się chwałą. Z prawej strony linia bojowa Napoleona zdawała się być należycie osłonięta; wprost niego cofała się armia nieprzyjacielska; na lewym zaś skrzydle, w Sławni, ks. Reggio zaatakowany został 19-go sierpnia przez Wittgenstein'a, którego udało mu się przyciągnąć pod Połock. Gwałtowny atak Wittgenstein'a nie dał wprawdzie Rosyanom pożądaných wyników, zapewnił im wszakże ofensywę. Podczas ataku raniony został marszałek Oudinot. Dowództwo dywizji jego, złożonej z niespełna trzydziestu tysięcy Francuzów, Szwajcarów i Bawarczyków — objął w zastępstwie generał Saint-Cyr. Następnego zaraz dnia Saint-Cyr, któremu li tylko rola samodzielnego wodza przypadała do gustu, skorzystał z chwili niezależności, aby wydobyć na jaw swoje zdolności militarne i dać się we znaki nieprzyjacielowi, nie unosząc się

ani też nie zapalając, ze zwykłym sobie, chłodnym a wyrachowanym spokojem.

Poczawszy od świtu aż do godziny piątej popołudniu, zwodził nieprzyjaciela propozycją układów, w celu zabrania rannych z pobojuwiska, zwłaszcza zaś ostentacyjnem przygotowywaniem się do odwrotu. Równocześnie, pod osłoną domostw wioski ś-go Spasa i okolicznych pagórków, ścigał cichaczem wszystkie swoje pułki, podzieliwszy je na trzy kolumny.

O godzinie piątej — gdy wszystko było już gotowe, a Wittgenstein uśpiony — ozwały się trąbki: w tejże chwili ryknęły działa nasze — biegiem ruszyły niewidzialne dotychczas kolumny. Napróżno bronili się zaskoczeni znienacka Rosyanie; niebawem lewe ich skrzydło zostało rozbite, a centrum zmuszone do ucieczki; pozostało na placu boju wielu zabitych, tysiąc jeńców i dwadzieścia dział. Saint-Cyr zajął nadto pozycję zaczepną, lecz zbyt słaby, żeby atakować, użył ofensywy jedynie w celu skuteczniejszej obrony.

W ciągu tego krótkiego, lecz gwałtownego i krwawego starcia, prawe skrzydło rosyjskie, opierające się o Dźwinę, namiętny stawilo opór. Wśród nieustannej strzelaniny, zasypywane gradem kul nieprzyjacielskich, pułki nasze ruszyły na bagnety. Atak powiódł się, lecz w chwili, gdy piechota Wittgenstein'a zaczęła ustępować i rozpraszać się, glucho jęknęła ziemia: dragoni rosyjscy — zdaniem jednych, według drugich — kawalergardzi, runęli cwałem na jedną z baterii Saint-Cyr'a. Zapasowa brygada francuska, która w razie potrzeby osłaniać miała baterię, wysunęła

się naprzód, poczem nagle zawróciła i jęła uciekać w popłochu wprost na działa, które z konieczności musiały umilknąć. Rosyanie naddiegli, jak burza, roznieśli na szablach naszych kanonierów i poprzewracali działa; zderzenie tak nagłe było, tak gwałtowne, że jeźdźcy nasi — coraz bardziej wystraszeni — wpadli na głównodowodzącego i sztab jego, wszystko po drodze roztrącając i trątując. Generał Saint-Cyr uciekać musiał pieszo. W głębi mrocznego jaru schronił się przed tą nawałnicą. Dragoni rosyjscy dosięgali już przedmieść Połocka, gdy zręczny a podstępny manerw Berckheim'a oraz 4-go pułku kirasyerów francuskich — położył kres walce. Rosyanie znikli w gąszczu poblizkich lasów.

Nazajutrz Saint-Cyr zorganizował pościg, głównie w celach wywiadowczych, po części zaś dlatego, ażeby zaznaczyć odniesione zwycięstwo i pomnożyć zebrane plony. W ciągu następnych dwóch miesięcy, aż do 18-go października, Wittgenstein trzymał się na uboczu, a Saint-Cyr, pilnie obserwując wszelkie poruszenia nieprzyjaciela, zajął się gorliwie utrzymaniem łączności z Macdonald'em, Witebskiem i Smoleńskiem, wzmocnieniem zajmowanej w Połocku pozycji, przede wszystkim jednak gromadzeniem jaknajwiększych zapasów żywności.

Podczas pamiętnej owej bitwy, czterech generałów, czterech pułkowników i wielu oficerów odniosło mniej lub więcej ciężkie rany. Odznaczili się zwłaszcza dwaj generałowie bawarscy: Deroy i Liden. Zmarli cztery dni później, 22-go sierpnia. Obaj w jednym byli wieku; w jednym

służyli niegdyś pułku; te same odbyli kampanie; jednakowo, mniej więcej, awansowali i w jednym dniu, jednaką śmiercią, chlubnego dokonali żywota. Jedna też mogiła przygarnęła litośnie na wieczny sen tych nieustraszonych żołnierzy i wiecznych przyjaciół, których śmierć nawet nie zdołała rozłączyć.

Na wieść o tem zwycięstwie cesarz przysłał generałowi Saint-Cyr marszałkowską laskę; dywizję nagroził znaczną liczbą krzyżów; zatwierdził wreszcie większość proponowanych awansów.

Jednakowoż — mimo zwycięstw — projekt dalszego posuwania się w głąb kraju, poza Smoleńsk, zbyt był ryzykowny, ażeby Napoleon odważył się rozpocząć akcyę własnymi tylko siłami. Po bitwie pod Walutyną, miejsce osłabłych i zmęczonych pułków Ney'a, zajął korpus Davouta. Murat — jako król i szwagier cesarza — uprzednio jeszcze objął był z jego rozkazu naczelne dowództwo przednich straży. Ney poddał się zwierzchnictwu Murat'a, nietyle przez uległość, ile na skutek zgodności usposobień. Łączyło ich wspólne umiłowanie tej samej sprawy.

Lecz Davout — chłodny i systematyczny, pyszniący się nadto wspomnieniem dwóch wielkich zwycięstw, którym zawdzięczał otrzymane godności i tytuły, nie mógł znieść takiej zależności. Dwaj ci wodzowie, którzy, w równym będąc wieku, dobijali się równocześnie zaszczytów i awansów, którzy nawykli słuchać genialnych jeno zarządzeń i rozkazów samego Napoleona, żadną miarą nie mogli wzajemnie nad sobą prze-

wodzić. Murat zwłaszcza, którego zapalny temperament zbyt często unosił na bezdroża.

Davout słuchał wprawdzie rozkazów, lecz niechętnie i niezupełnie, tak, jak słuchać zwykła obrażona duma. Zaprzestał natychmiast wszelkiej bezpośredniej korespondencji z cesarzem. Cesarz, zdziwiony, kazał mu nawiązać ją ponownie, motywując rozkaz swój brakiem ścisłości w raportach Murat'a. Davout skorzystał z tego wyznania, aby odzyskać utraconą niezależność. Od tej chwili przednie strażę miały aż dwóch wodzów. Cesarz więc — zmęczony, chory, obciążony nadmiarem pracy i trosk wszelkiego rodzaju, wobec intryg i współzawodnictwa pomiędzy generałami, zmuszony liczyć się z nimi, wbrew zasadom swoim i tradycji ubiegłych lat — dzielił władzę i rozdrabniał poszczególne części armii. Warunki i okoliczności, którym tylekroć własną narzucal wolę, z kolei silniejszymi stały się od niego i jemu przewodziły.

Tymczasem, wobec tego, iż Barclay cofnął się bez oporu aż do Drohobuża, Murat nie potrzebował pomocy Davouta; brakło przeto powodów do zatargu. Lecz o kilka wiorst od tego miasteczka, 23-go sierpnia, około godziny jedenastej przed południem, w cieniu niewielkiego lasku, zawrzała uporczywa walka. Dwukrotnie odpierali Rosyane atak, dwukrotnie Murat zdobywać musiał zajmowaną przez nich pozycję.

Zdumiony niespodziewanym oporem o tak wczesnej godzinie, Murat zawziął się, a gdy zajął wreszcie lasek, ujrzał po za nim całą armię rosyjską pod bronią. Środkiem płynęła wąskim

jarem rzeczka Łuża. Dochodziło południe. Rozciągłość linii rosyjskiej, osobliwie w kierunku naszego prawego skrzydła, poczynione przygotowania, wybór godziny, miejscowości — w tym punkcie zeszły się ponownie armie Barclay'a i Bagration'a — oraz terenu, wszystko zdawało się przemawiać za walną rozprawą. Murat uwiadomił o tem cesarza.

Równocześnie zaś wysłał na przeciwległy brzeg rzeki generała Montbrun'a i jazdę jego, w celu rozpoznania i obejścia lewego skrzydła nieprzyjacielskiego. Montbrun'a osłaniała piechota marszałka Davout: pięć dywizji wyćwiczonego żołnierza. Pragnąc — jak wieść niesie — podtrzymać w ten sposób flankowy manewr Montbrun'a, Murat kazał im cofnąć się na trakt i atakować czoło kolumny rosyjskiej.

Lecz Davout odpowiedział, że: „byłoby to zaprzepaszczaniem naszego prawego skrzydła, wskroś którego nieprzyjaciel dotarłby do traktu i zagroził nam jedyną drogę do odwrotu; że tym sposobem zmusiłby nas do decydującej bitwy, której on — Davout — unikać ma w myśl otrzymanych z góry rozkazów i której uniknie, nie mając po temu dostatecznych sił ani też dość obronnej pozycji, pozostając nadto pod komendą wodza, do którego żadnego nie czuje zaufania“. Napisał również niezwłocznie do Napoleona z prośbą o jaknajrychlejsze przybycie, o ile cesarz życzyłby sobie wziąć udział w bitwie, projektowanej przez Murat'a.

Szczerą radością przejęła Napoleona powyższa wiadomość, odebrana w nocy z 24-go na

25-go sierpnia. Niepewność męką była dla przedsięwziętego i stanowczego umysłu cesarza. Przybiegł więc corychlej na czele gwardyi swojej, uszedłszy bez wytchnienia dwanaście mil. Lecz poprzedniego jeszcze dnia, wieczorem, armia nieprzyjacielska znikła bez śladu.

Francuzi przypisywali odwrót ten zasługom Montbrun'a; Rosyane — Barclay'owi i błędnej pozycji, zajętej przez szefa sztabu jego, który, zamiast wykorzystać właściwości terenu, zwrócił je przeciwko sobie. Bagration spostrzegł to pierwszy i w uniesieniu napomknął nawet o zdradzie.

Za przykładem naszych przednich straży, szerzyły się niesnaski w obozie rosyjskim. Dotkliwie dawał się we znaki brak zaufania do głównodowodzącego, zaufania, które jest siłą i spójnią wszelkiej armii: każdy krok był tedy fałszywym, każda decyzja najgorszą. Utrata Smoleńska zaostrzyła sytuację, a połączenie się obu korpusów pogłębiło jeszcze wzajemną niechęć i rozgoryczenie. Im silniejszą była liczebnie armia rosyjska, tem słabszym i uleglejszym był wobec niej naczelny wódz. Niebawem głuchy pomruk niezadowolenia w głośnie przeszedł okrzyki: domagano się jednomyślnie innego wodza. Dzięki jednak interwencji kilku rozważniejszych jednostek, wobec zapowiedzianego przyjazdu Kutuzowa i nadziei bliskiej walki — ucichła wrzawa.

Skądinąd, cesarz który dotarł już do Drohobuża, nie waha się dłużej. Świadom tego, iż wszędzie pójdą za nim sprawy całej Europy, że miejsce pobytu jego będzie zawsze

punktem, w którym ważyć się będą i rostrzygać losy narodów, że może posuwać się w głąb kraju bez lęku o groźne skutki odstępstwa. Szwecyi i Turcy — lekceważy sobie i zaniedbuje armię nieprzyjacielską: korpus Essen'a w Rydze; Wittgensteina — pod murami Połocka, Hoertl'a — przed Bobrujskiem, Czyczagowa — na Wołyniu; armię, liczącą ogółem sto dwadzieścia tysięcy ludzi, a której liczba mogła jeno wzrastać. Wyprzedziwszy ją, patrzy więc obojętnie na osaczające nas poszczególne oddziały, przekonany najmocniej, że loskot pioruna, który dzierży w dłoni — wstrząśnie ziemią całą, że runą wówczas wszelkie przeszkody: militarne i polityczne.

A jednak bojowa kolumna cesarza, licząca jeszcze przy wyjeździe z Witebska sto osiemdziesiąt pięć tysięcy ludzi, zredukowana już jest do stu pięćdziesięciu tysięcy. Z owych dwudziestu ośmiu tysięcy, połowa zalega Witebsk, Orszę, Mohylew i Smoleńsk. Reszta zaś, bądź to padła krwawą sieją na pobojowiskach, bądź też — dezorganizowana, z wszelkiej wyzuta karności — wlokąc się śladem armii, rabuje i kradnie wszystkich bez wyjątku, zarówno sprzymierzeńców jak i własnych rodaków.

Lecz nawet zredukowana armia ta dostateczną była, aby rozbić całkowicie wojska rosyjskie i zająć Moskwę, zwłaszcza, że mimo groźby owych stu dwudziestu tysięcy Rosyan, nasza linia operacyjna zdawała się być najzupełniej osłonięta. Macdonald, na czele trzydziestu dwóch tysięcy ludzi, strzegł lub też miał strzedz, w pobliżu Rygi i Dynaburga — Litwy, Dźwiny, Dniepru,

poniekąd i Smoleńska; Saint-Cyr, z trzydziestu tysiącami żołnierzy bronił Połocka; Victor i czterdzieści tysięcy ludzi — Witebska, Smoleńska i Mohylewa; generał Dąbrowski z dwunastotysięczną legią — Bobrujska; Szwarzenberg i Règnier — czyli czterdzieści pięć tysięcy ludzi — linii Bugu. Napoleon liczył nadto na dywizye Loison'a i Durrutte'a, razem dwadzieścia dwa tysiące ludzi — zbliżające się do Królewca i Warszawy, oraz na osiemdziesiąt tysięcy zapasowe, które wkroczyć miały na terytorium rosyjskie w pierwszej połowie listopada.

Wraz z nowozaciężnymi pułkami polskimi i litewskimi rezerwa stanowiła dwieście osiemdziesiąt tysięcy ludzi. Ażeby więc dokonać inwazyi na przestrzeni dziewięćdziesięciu trzech mil, gdyż taką jest odległość od Smoleńska do Moskwy, cesarz rozporządzał kolosalną cyfrą przeszło czterystu tysięcy żołnierzy.

Lecz rezerwa ta, na poszczególne podzielona korpusy, podlegała komendzie sześciu dowódców, wzajemnie od siebie niezależnych, z których najstarszy obowiązany wytworzyć pewną jednolitość w działalności pięciu pozostałych, był raczej rzecznikiem pokoju, aniżeli żołnierzem.

Te same zresztą przyczyny, które w ciągu kilku miesięcy tak bardzo przetrzebiły jądro armii francuskiej, wytępić miały lub też rozproszyć — znacznie prędzej i doszczętniej — wszystkie pułki zapasowe. Podzielone na prowizoryczne bataliony, pod wodzą obcych i obojętnych oficerów, którzy lada dzień mogli być odwołani, apatycznie, niekarne, pułki te przebywały bezmierne, ogniem

i mieczem spustoszone przestrzenie, pod szarem niebem zbliżającej się z dniem każdym jesieni.

Tymczasem Napoleon oglądał po raz wtóry pożar całego miasta. Na wzór Smoleńska spłonęło Drohobuże, w pierwszym zaś rzędzie dzielnica kupiecka, zamieszkała przez ludzi bogatych, którzy, z racyi stanowiska, zajmowanego w społeczeństwie, jako klasa przejściowa, zaczątek stanu trzeciego, bardziej byli wrażliwi na urok swobod i wolności, i łatwiej może od innych warstw dążyć się zjednać i pozyskać.

Cesarz zupełnie jasno zdaje sobie sprawę z tego, iż zajęcie Smoleńska było właściwie bezcelowe i żadnych nie dało wyników. Lecz, jakkolwiek decydująca bitwa raz jeszcze odłożona została wskutek wahania się generałów rosyjskich i niesnasek, panujących w obozie nieprzyjacielskim, powzięta przez cesarza decyzja niezłomna jest i niewzruszona. Uporczywie ściga nieprzyjaciela, coraz śmielej posuwając się w głąb kraju; ostrożność ich zowie tchórzostwem; odwrót — ucieczką; lekceważy — aby nie utracić nadziei i wiary we własne siły!

Tak szybko nadbiegł cesarz do Drohobuża, że zmuszony był czekać na resztę armii, podczas kiedy Murat ścigał nieprzyjaciela. Opuścił Drohobuż 24 go sierpnia. Armia posuwała się równomiernie trzema wielkimi kolumnami: cesarz, Murat, Davout i Ney — w pośrodku, traktem moskiewskim; Poniatowski z prawej strony; armia włoska — z lewej.

Dążąc śladem przednich swoich straży, które zaledwie zdołały wyżywić się ze skąpych resztek,

przez Rosyan pozostawionych, środkowa kolumna—najliczniejsza — szła pośpiesznie drogą ogłodzoną i pustą, z której zboczyć nie mogła dla braku czasu. Zresztą, tak pulki włoskie, jak i żołnierze Poniatowskiego ogołocili doszczętnie całą okolicę. Dalsze zaś, nocne wycieczki po prowiant i furaz, opóźniające z konieczności codzienny wymarsz, najzupełniej były wykluczone, zarówno ze względu na bliskie sąsiedztwo z wojskiem nieprzyjacielskim, jak na znaczną a nieuniknioną zwłokę.

Trzy dni później, 27-go sierpnia, z kwatery cesarskiej w Sławkowie, o kilka mil poza Drohobużem, wyszedł rozkaz, powołujący marszałka Victor'a z nad brzegów Niemna pod Smoleńsk. Lewe skrzydło marszałka zając miało Witebsk, prawe — Mohylów, centrum — Smoleńsk. Victor podtrzymać miał w razie potrzeby Saint-Cyr'a, osłaniać tyły armii, dążącej ku Moskwie oraz utrzymać łączność z Litwą.

W ciągu pochodu tego z wiosek i miasteczek głębokiej Rosyi wysyłał Napoleon rozliczne zarządzenia i dekrety, które docierały aż do najcichszych, najbardziej zapadłych kątów Francyi; wszędzie bowiem pragnął być obecnym, wszystkim rządzić, we wszystko wglądać. Nie syty sławy i potęgi, we własne zapatrzone sny, coraz śmielsze, coraz zuchwalsze i bardziej niedościgłe snuł marzenia: imieniem swoim wypełnić chciał ziemię całą; silną dłonią wszechświatowe ująć berło.

Murat podążał śladem armii rosyjskiej aż poza Otme, rzekę wąską, lecz głęboką i głębo-

kiem płynącą korytem, jak większość rzek tamtejszych, dzięki czemu, w okresie dorocznego topnienia śniegów, nadbrzeżne okolice mniej narażone są na zalewy i powodzie. Tylne straże rosyjskie, rzeką odgradzone — rozłożyły się obozem na wzgórzach przeciwległego brzegu. Murat niezwłocznie szukać kazał brodu, a gdy bród znaleziono—ze zwykłą sobie, szaloną a nieopatrzoną odwagą, ruszył wąskim jarem ku pozycjom nieprzyjacielskim, na niechybną zagładę, czyniąc ze zwykłej utarczki rozpaczliwą walkę. W rzeczy samej pulki rosyjskie skorzystały z niezwyklej sposobności i, wpadłszy na nas z impetem, starały się zepchnąć naszą jazdę w nurty rzeki. Lecz Murat bronił się tak walecznie, z takim uporem ponawiał atak, że w końcu zwyciężył. 4-ty pułk ułanów zdobył upragnioną pozycję; Rosyanie zaś cofnęli się opodal, uszczęśliwieni, iż tak drogo okupić nam kazali ćwierćmilowy zaledwie kęs ziemi, którzy w każdym razie—bez krwi rozlewu—byliby opuścili w ciągu nocy.

W chwili największego niebezpieczeństwa, jedna z baterji ks. Eckmühl, dwukrotnie odmówiła posłuszeństwa. Komendant baterji zasłaniał się otrzymaną instrukcją, która groziła mu degradacją, w razie gdyby ośmielił się strzelać bez wyraźnego rozkazu Davout'a. Rozkaz ten nadszedł—zdaniem jednych—w porę, według drugich zaś—po niewczasie. Przytaczam zajście to dlatego, iż nazajutrz—w Zemlewie—było ono powodem gwałtownej sprzeczki między Murat'em a Davout'em, sprzeczki, której nawet obecność cesarza nie zdołała zażegnać.

Król wypominał księciu nadmierną ostrożność, a szczególnie dawną niechęć, sięgającą jeszcze kampanii egipskiej. W uniesieniu nie wahał się napomknąć o prywatnem załatwianiu uraz osobistych, z którymi ani tocząca się kampania, ani też armia nie powinna mieć nic wspólnego.

Davout, zirytowany, oskarżał króla o zuchowałą, z niczem nieliczącą się, szaloną odwagą, która — według niego — „kompromitowała ustawicznie armię, narażając ją wciąż na znaczne a bezcelowe straty w ludziach, koniach i amunicyi.”

Wreszcie zauważył: „że w ten sposób wyginie cała kawalerya; że, o ile Murat rozporządzać może dowolnie swoimi pułkami, to niema prawa szafować bez potrzeby piechotą pierwszego korpusu, której on — Davout — obowiązany jest strzedz i chronić”.

Przemowa ta nie pozostała, oczywiście, bez odpowiedzi, równie żywej i namiętnej, jak żywym i namiętym był temperament Murat'a. Cesarz słuchał spokojnie sprzeczki, potrącając nogą napół przysypany piaskiem granat rosyjski. Zdało się nawet, iż gwałtowna gestykulacya i nader zmienna gra fizyonomii obu zacierzwionych współzawodników sprawia mu pewną przyjemność. Wzajemną ich niechęć przypisywał jedynie umiłowaniu tych samych ideałów życiowych, widząc z doświadczenia, jak bardzo wszechwładną i zazdrosną jest żądza sławy.

Podobał mu się burzliwy zapal króla neapolitańskiego. Brak paszy i żywności naglił do jaknajrychlejszego zwycięstwa, po którym — nie zwle-

kając — należało w dalszą ruszyć drogę. Kryzys ogólnoeuropejski był zresztą zbyt silny, sytuacja zbyt krytyczna, a cesarz zanadto niecierpliwy, żeby wyczekiwać i na jakąkolwiek dłuższą nieco godzić się zwłokę.

Krewkość Murat'a zrozumialszą dlań była od systematycznej i spokojnej rozwagi ks. Eckmühl, zwrócił się też w końcu do Davout'a z temi słowy: „Nikt nie może być doskonałością; ty jednak lepiej umiesz stoczyć walną bitwę, aniżeli poprowadzić przednie strażę”.

Poczem odprawił obydwóch, radząc im zaniechać na przyszłość podobnych niesnasek.

Z niewygasłą w sercach nienawiścią powrócili obaj wodzowie do swoich korpusów, a ponieważ walka toczyła się li tylko na forpocztach, nadal więc wydzielali sobie wzajemnie każdą, najdrobniejszą nawet sposobność do wyróżnienia się.

28-go sierpnia armia nasza przekroczyła granice gubernii Wiaziemskiej. Uszykowana w krótką a szeroką i zwartą kolumnę, szła pośpiesznie na przełaj polami, wśród rozległej równiny. Traktem posuwała się artylerya, furgony i ambulanse. Cesarz osobiście wszystkiego doglądał, widny zdaleka na pysznym rasowym koniu. Listy Murat'a i bliskość Wiaźmy ludziły go raz jeszcze nadzieją decydującej rozprawy; jadąc, obliczał tedy ilu tysiącami strzałów armatnich będzie mógł zasypać i zdruzgotać wojska nieprzyjacielskie.

Lecz Barclay ograniczał się jedynie do utarczek z naszymi forpocztami i o tyle tylko,

ażebym opóźnić inwazyę, nie zniechęcając nas całkowicie.

Znamienna ta decyzja Barclay'a, znużenie i osłabienie armii, intrygi i współzawodnictwo dowódców, wreszcie zbliżanie się rozstrzygającego momentu — wszystko to niepokoiło i trapiło Napoleona. W Dreźnie, w Witebsku, nawet w Smoleńsku, oczekiwał napróżno listu od Aleksandra. Podczas postoju w Rybkach około 28-go sierpnia, pośrednio dał do zrozumienia, iż pismo takie byłoby pożądane; nieciekawy pozatem list Berthier'a do Barclay'a kończył się następującem zdaniem: „Za mojem pośrednictwem, cesarz prosi pana o przesłanie w jego imieniu cesarzowi Aleksandrowi wyrazów szczerzej życzliwości, gdyż ani zmienne koleje toczącej się wojny, ani też jakiegokolwiek bądź zewnętrzne warunki i okoliczności nie umniejszają w niczem serdecznej jego przyjaźni”.

Tegoż 28-go sierpnia forpoczty nasze dotarły śladem Rosyan aż do bram Wiaźmy. Spontniałe i zakurzone szeregi nie miały nawet czem ugasić pragnienia. Pięściami torowano sobie drogę do kilku większych kałuży; zmętniałą niebawem wodę z nielicznych strumyków wyczerpano wnet do dna. Sam cesarz zadowolić się musiał kubkiem płynnego błota.

W ciągu nocy nieprzyjaciel zniszczył mosty na Wiaźmie, miasto zaś splądrował i podpalił. Murat i Davout rzucili się niezwłocznie do ognia i, mimo oporu Rosyan, dzięki temu, że w pobliżu zniszczonych mostów można było wygodnie przeprowadzić się wpraw przez rzekę, zdołali odeprzeć podpalaczy i ugasić pożar.

Uprzednio odkomenderowano do forpocztów doborowego żołnierza z rozkazem nacierania zbliska na nieprzyjaciela i wytropienia istotnych sprawców pożaru. Wobec złożonego nazajutrz raportu, rozwiały się ostatnie złudzenia cesarza odnośnie do Rosyan i powziętej przez nich rozpaczliwej decyzji.

W magazynach Wiaźmy znaleziono nieco zapasów, niebawem wszakże rabunek wszystko roztrwonił i zaprzepaścił. W przejeździe przez miasto Napoleon dostrzegł nieład i ślady nadużyć; ziryutowany, wsparł konia w zwarte szeregi żołnierzy—bijąc i tratując; przyłapanego na kradzieży wiwandiera kazał natychmiast stawić przed sąd i rozstrzelać. Wiedzano jednak dobrze, jakie było właściwe znaczenie tego rodzaju pogróżek i rozkazów; wiedzano i to także, że im gwałtowniejszy był wybuch gniewu, tem większa później pobłażliwość i wyrozumiałość. Poprzestano więc na tem, iż nieco dalej, skazany przed chwilą wiwandier oczekiwał na klęczkach przejazdu cesarza, a obok niego jakaś kobieta i kilkoro przygodnie zebranych dzieci, oplakujących smutną dolę rzekomego ojca. Cesarz—uspokojony już—zapytał obojętnie: „Czego chcecie?”—i kazał uwolnić skazańca.

Nie zdążył jeszcze zsiąść z konia, gdy ujrzał nadjeżdżającego w skok Belliard'a, od lat piętnastu towarzysza broni Murat'a, a w owym czasie szefa sztabu jego. Zdumiony, sądził—iż stało się coś złego. Lecz Belliard zgoła inne przywiózł wieści; mianowicie: „że w pobliżu Wiaźmy, poza głębokim jarem, w nader obronnej pozycji,

ukazały się zbrojne pulki nieprzyjacielskie; że również ruszyła z obu stron jazda; że, potrzebując nieodzownie poparcia piechoty, król stanął był osobiście na czele jednej z dywizji Davout'a i prowadził ją w ogień, gdy wtem nadbiegł marszałek i kazał stanąć swoim szeregom, ganiąc głośno taktykę króla i niesubordynację swoich generałów; że wówczas Murat napróżno powoływał się dwukrotnie na piastowaną przez siebie godność i na ważny, niecierpiący żadnej zwłoki moment walki; że, wobec tego, oświadcza cesarzowi, iż zniechęcony już jest okazywaną mu ustawicznie nienawiścią i lekceważeniem i że cesarz wybierać musi pomiędzy nim a Davout'em".

Wysłuchawszy raportu, Napoleon zawrzał gniewem i, wołając: „że Davout zapomina o wszelkiej subordynacji i lekceważy w osobie Murat'a cesarskiego szwagra i zastępcę!" — wysłał Berthier'a z rozkazem natychmiastowego oddania dywizji Compans — tej właśnie, która zatarg spowodowała — pod bezpośrednią komendę króla. Davout przyjął w milczeniu uwagi, dotyczące użytych przez się zewnętrznych form i wyrażań, lecz bronił uporczywie treści całego zajścia, bądź to dlatego, iż odnosił się do króla z nietajoną niechęcią i uprzedzeniem, bądź też, że istotnie lepiej ocenił właściwości terenu i odpowiadające im kombinacje militarne.

Tymczasem walka ucichła i Murat rozpałmiętywać mógł bez przeszkód wszystkie szczegóły sprzeczki z Davout'em. Zamknięty w namiocie, sam na sam z nieodstępny Belliard'em, w miarę jak odtwarzał w pamięci całe zachowa-

nie się marszałka, rumieniec gniewu i wstydu oblewał mu czoło, a krew kipiątkiem przelewała się w żyłach. „Zapoznany został, zelżony publicznie, a Davout żył jeszcze i żadnej nie poniósł kary! Obojętny mu jest gniew cesarza i powzięta przezeń decyzja, gdyż krwią tylko zmasać można podobną zniewagę! Szpadzie swojej wszystko zawdzięcza i ze szpadą w dłoni szukać będzie zadośćuczynienia za krzywdę i obelgi!” I chwycił już za oręż, gdy Belliard jął powstrzymywać go i uspokajać, powołując się na wyjątkowe okoliczności, na armię, której należało świecić przykładem, na uchodzącego coraz dalej nieprzyjaciela, którego mogły jeno radować tego rodzaju niesnaski i kłótnie.

Król uległ w końcu perswazyom generała, lecz snąc ciężką była tocząca się w nim wewnętrzna walka, bo łyzy bólu i gniewu spłynęły mu po licach na galony i hafty munduru. Drżącym od wzruszenia głosem przeklinał własny świetny los i królewską koronę, która przypadła mu w udziale. Podczas kiedy Murat takie ciężkie przeżywał chwile, Davout, zawsze chłodny i obojętny, najspokojniej siedział w swojej kwaterze, w dalszym ciągu twierdząc uparcie, iż cesarz oszukiwany był i rozmyślnie w błąd wprowadzany.

Po rozmowie z Belliard'em, Napoleon powrócił do Wiaźmy, gdzie obecność jego potrzebna była, ażeby ogarnąć całokształt tej nowej zdobyczy oraz związane z nią korzyści. Wiadomości, otrzymane z głębi Rosyi, poinformowały go o tem, iż rząd rosyjski stara się przekonać

naród, że utrata tylu prowincyi była jeno wynikiem zatwierdzonego z góry planu cofania się na całej linii. Przejęte we Wiaźmie papiery stwierdzały nadto, że w Petersburgu, z racyi rzekomych zwycięstw pod Witebskiem i Smoleńskiem, odśpiewano po cerkwiach uroczyste: *Te Deum*. Zdziwiony i oburzony tem Napoleon, zawołał: „Uroczyste *Te Deum!*... Okłamują tedy równie bezczelnie Boga, jak ludzi!”

1-go września, około południa, Murat stanął tuż w pobliżu Gżacka. Niewielki lasek sosnowy odgradzał jazdę naszą od miasta. Obecność kozaków zmusiła króla do natychmiastowego działania. Poszło w ogień kilka pułków. Niebawem jednak, zniecierpliwiony zbyt przewlekłą według niego walką, Murat skrzyknął kilkudziesięciu jeźdźców i, wyparłszy Rosyan z lasku, znalazł się u bram Gżacka. Widząc to, Francuzi natarli ze zdwojonym animuszem i zajęli wnet miasto aż po rzekę, która dzieliła je na dwie części. Lecz mosty na rzece stały już w płomieniach.

W Gżacku, tak, jak w Smoleńsku i w Wiaźmie, bądź to przypadkowo, bądź też na skutek dawnych obyczajów tatarskich, targ i bazyry wznosiły się od strony Azyi, na przeciwległym nam brzegu. Tylne straże rosyjskie, rzeką osłonięte, miały zatem dość czasu, aby spalić całą tę dzielnicę. Reszta miasta ocalała li tylko dzięki zwinności i odwadze Murat'a.

Przeplłynięto rzekę Gżack jak kto mógł: na tratwach, na belkach i wplaw. Śladem uciekających Rosyan, żołnierze nasi docierali do płonących domów, gdy wtem nagle wybiegł na ich spot-

kanie jakiś człowiek, wołając głośno, że jest Francuzem. Zarówno radość jego, jak i akcent zdradzały rodaka. Zaprowadzono go natychmiast do Davout'a, który skorzystał ze sposobności, aby zasięgnąć języka.

W łonie armii rosyjskiej zaszły podobno wielkie zmiany. Szemrano i powstawano przeciwko Barclay'owi, zarówno w szeregach, jak wśród szlachty i mieszczaństwa. Zgodnie potępiała go cała Moskwa. „Barclay zdrajcą jest i zaprzaićcem! Przyczynił się do częściowego rozbitcia wszystkich niemal dywizyj! Hańbą i sromotą okrył armię, cofając się nieustannie, podczas gdy płonęły miasta, a nieprzyjaciel coraz bardziej posuwał się w głąb kraju! Jeśli konieczną była ofiara bogactw i mienia, naród uczynić ją chciał dobrowolnie, aby tym sposobem ocalić przynajmniej honor i godność narodową; lecz ofiara taka—złożona rękami cudzoziemca, była zagładą wszystkiego, nie wyłączając honoru i godności.

„Dlaczego jednak cudzoziemiec zajmować miał równie ważne i odpowiedzialne stanowisko? Wszak żył jeszcze towarzysz broni i druh niezapomnianego Suworowa! Tylko Rosyanin ocalić może Rosyę!”—I wszyscy jednomyślnie domagali się nominacji Kutuzowa i walnej rozprawy. Francuz dodał, że Aleksander uległ życzeniu ogółu; że subordynacja Bagration'a i powszechny protest dopełniły miary; że wreszcie—wobec bliskości Moskwy i przebiegu ostatnich kilku utarczek—cesarz uznawał sam nieodzowną potrzebę gwałtownego starcia.

Ziomek nasz upewniał nadto, że w dniu 29

sierpnia, między Wiaźmą a Gżackiem, w miejscowości Carowo-Zamieście, sędziwy Kutuzow entuzjastycznie witany był przez wojska rosyjskie; że nadzieja rychłej bitwy ożywiała wszystkie serca, że, nie zwlekając, armia ruszyła w stronę Borodina, tym razem nie w celu cofania się, lecz dlatego, aby stanąć murem na granicy gubernii moskiewskiej, aby ojczystej bronić ziemi i zwyciężyć lub zginąć.

Przybycie parlamentarza rosyjskiego zdawało się potwierdzać te nowiny. Lecz parlamentarz nie wiele miał do powiedzenia; obserwował natomiast i bacznie rozglądał się na wszystkie strony, ku wielkiemu niezadowoleniu oficerów naszych, zwłaszcza Davout'a. Gdy jeden z generałów francuskich niebacznie zapytał go, jaki jest najgłówniejszy etap między Wiaźmą a Moskwą: „Połtawa” — odparł wyniośle Rosyanin. Charakterystyczna ta odpowiedź, gromami brzemienna, ogólnie podobała się Francuzom, którzy równie gorąco jak Rosyanie pragnęli zaprzestać nieustannego pościgu i zmierzyć się nareszcie z nieprzyjacielem.

Odprowadzając parlamentarza, po raz wtóry żadnych nie zachowano ostrożności. Widział tedy, że bez przeszkód można było dotrzeć aż do głównej kwatery; że na forpocztach ani jeden żołnierz nie stał na warcie; że wszędzie i we wszystkim ujawniało się karygodne niedbalstwo oraz właściwa Francuzom i zwycięzcom zuchwała pewność siebie. Wszyscy spali: nigdzie ani haśle, ani patroli. Żołnierze nasi jakgdyby lekceważyli sobie zwykły obozowy ład i regulamin. Poco tyle ostrożności? Wszak oni atakowali, oni

odnosili zwycięstwa; nie oni więc, lecz Rosyanie obowiązani byli bronić się i rygoru wojskowego przestrzegać!—Tenże sam oficer mawiał później, iż byłby wykorzystał niezwłocznie naszą nieogłębność, lecz, że niestety! nie miał pod ręką ani jednego korpusu rosyjskiego.

Przy podpalaniu mostów na Gzacku, nieprzyjaciel — zmuszony cofnąć się corychlej za rzekę—zostawił na przeciwległym brzegu zapóźnioną garstkę kozaków. Niebawem otoczeni poddali się bez oporu. Za pośrednictwem tłumacza cesarz sam ich wypytywał, przyglądając się ciekawie osobliwemu odzieniu i dzikim twarzom pojmanych. Odpowiedzi kozaków brzmiały zgodnie z informacjami owego Francuza, a raporty przysłane z forpocztów w nocy z 1-go na 2-go września — stwierdziły niezbitcie prawdomówność naszego rodaka.

Barclay zatem — wbrew wszystkim i wszystkiemu — bronił uparcie do ostatniej chwili planu cofania się na całej linii, planu, który wysławiał przed jednym z naszych generałów w r. 1807 jako jedyną deskę ratunku, jedyny sposób ocalenia zagrożonej Rosyi. W pośród nas chwalono go ogólnie za dotychczasowe utrzymanie rozważnej defensywy, mimo zaczepnego stanowiska armii naszej i protestu dotkniętego w dumie swojej narodu.

Zbłądził niewątpliwie przez opuszczenie Wilna i zapoznanie błotnistej Berezyny jako nader korzystnej granicy naturalnej; następnie jednak, pod Witebskiem i Smoleńskiem, uprzedził Napoleona, a zarówno nad Łucyysą, jak nad brzegami

Dniepru i pod Walutyną—opór jego najzupełniej był zastosowany do warunków i okoliczności. O ile zaś podjazdowa walka ta odbiła się najfatalniej na armii francuskiej, o tyle korzystna była dla Rosyan; w miarę jak Napoleon oddalał się od rezerwowych naszych korpusów, Barclay zbliżał się coraz bardziej do dépôts swoich i magazynów. Zawsze więc i wszędzie odpowiednią zachował taktykę, bez względu na to, czy atakował, czy też bronił się lub cofał.

Mimo zalety te, nie zdołał wszelako zaskarbić sobie w narodzie ani sympatyj, ani zaufania. Lecz ogólna owa niechęć była skądinąd najwyższą dlań pochwałą. Lekceważąc sobie opinię publiczną z chwilą, gdy jąła zbaczać na manowce, poprzestał na baczne śledzeniu najdrobniejszych ruchów armii nieprzyjacielskiej, aby wykorzystać je i ocalić naród wobec jego woli.

Później zaś, gdy odjętem mu zostało naczelne dowództwo, generał ten i minister—jako prawy syn ojczyzny—przeszedł dobrowolnie pod komendę Kutuzowa i świecił aż do końca przykładem wzorowej subordynacji i karności.

III.

Bitwa nad Moskwą.

Nareszcie więc armia rosyjska zatrzymała się! Miłoradowicz, szesnastotysięczny korpus rekrutów i tłumy chłopskiej czerni — z krzyżem

w dłoni a okrzykiem: „Bóg tak chce!” na ustach— nadbiegały połączyć się z wojskiem. Wieść niosła, że nieprzyjaciel okopywał się na równinie, okalającej Borodino, zalewając ruchomą ludzką falą drogi i pola.

Napoleon walną zapowiedział rozprawę. Udzielono armii dwudniowego wypoczynku dla nabrania tchu, oczyszczenia broni i przygotowania zapasów furażu i żywności. Oddziały, wysłane nieco dalej za furażem i trawą, powrócić miały nazajutrz, w przeciwnym zaś razie pozbawione byłyby „zaszczytnego współludziału w walce”.

Cesarz zapragnął wówczas poznać nowego swojego przeciwnika. Odmalowano mu Kutuzowa jako starca, który przed laty wyplął na widownię dzięki osobliwej ranie. Następnie umiejętnie korzystał z warunków i okoliczności. Porażka pod Austerlitz, którą przewidywał i przepowiedział, zwiększyła jeszcze sławę jego, zarówno jak ostatnie kampanie przeciw Turcyi. Wartość Kutuzowa bezsprzeczna była i niewątpliwa, wymawiano mu jednak zbytnią interesowność i wyrachowanie. Geniusz jego—powolny, mściwy i podstępny — z istic tatarską chytrością, drogą układnej i cierplivej dyplomacyi, przygotowywać umiał bezlitosną, nieubłaganą walkę.

Pozatem, wytrawniejszy jeszcze jako dworak, aniżeli generał, słynny i wpływowy, zręcznem pochlebstwem pozyskał sobie sympatyę całego narodu i każdej poszczególnej jednostki, od generała do prostego szeregowca.

W zewnętrznym jego wyglądzie, w mowie, w odzieniu, nawet w podeszłym wieku oraz prze-

sądnych praktykach i wierzeniach—zachowały się tradycje Suworowa, charakterystyczne narodowe cechy Rosyanina starej daty, które czyniły go drogim sercu rodaków. To też w dniu nominacji Kutuzowa Moskwa cała szalała z radości: ściskano się i całowano po ulicach, najpomyślniejszą wróżąc sobie przyszłość.

Po wysłuchaniu powyższych informacji, gdy wydane już zostały wszelkie rozkazy i zlecenia, Napoleon oczekiwać jął bitwy ze spokojem hartownych i niepospolitych jednostek. Objechał, jak zwykle, posterunki i pobliskie miejscowości. Murat wyprzedził go o kilka mil. Od chwili przyjazdu Kutuzowa, czoła kolumn naszych musiały opędzać się nieustannie od luźnych oddziałów kozackich, które równie natarczywe były, jak łatwe do odparcia. Murat, zirytowany ciąglem ukazywaniem się barwnych czap mołajców, pod wpływem uczuć godnych średniowiecznego rycerza—zdarł konia i pognął samotrzeć przeciwko całemu oddziałowi, tak groźnie potrząsając obnażoną szpadą, że zdumieni barbarzyńcy cofnęli się posłusznie.

Rycerska postać króla, sława jego, świetność kapiącego od złota i haftów munduru, wreszcie zuchowałość podobnego czynu — tłumaczą nam ową chwilową przewagę, prawdziwą, choć nieprawdopodobną. Takim był bowiem Murat: król teatralny, jeśli sądzić go zachcemy po dziwacznym i jaskrawym stroju — i prawdziwy monarcha, jeśli weźmiemy pod uwagę istotną wartość jego i niez mordowaną energię; odważny do szaleństwa, zapamiętały w boju, nieznający co to lęk i trwoga.

Pułki nasze zajęły niezwłocznie okoliczne wsie i lasy. Na lewem skrzydle i w centrum — armia włoska, dywizya Compans'a i Murat; na prawem skrzydle—Poniatowski. Atak ogólny był, gdyż zarówno armia włoska, jak korpus Poniatowskiego ukazały się jednocześnie po obu stronach wielkiej kolumny cesarskiej, spychając w kierunku Borodina tylne straże rosyjskie. Walka koncentrowała się zatem w jednym punkcie.

Odsłonięto tym sposobem pierwszą redutę nieprzyjacielską. Zbyt wysunięta ku przodowi—na skutek falistości terenu—reduta bronila lewego skrzydła rosyjskiego, nie będąc w zamian przez nie bronioną.

Compans wykorzystał umiejętnie warunki terenu: z niewielkich pagórków zagrały wnet działa, a pod ich osłoną formowała się piechota. Pierwszy ruszył na bagnety 61-szy pułk: reduta zdobyta została odrazu, lecz nadesłane przez Bagration'a posiłki—odebrały ją niebawem. Trzykrotnie szedł 61 pułk do ataku i trzykrotnie musiał cofać się, wreszcie wdarł się na szanice — zdziesiątkowany i krwawy.

Gdy nazajutrz cesarz odbywał rewiew pułku tego, na zapytanie: „Gdzie podział się trzeci batalion?”—„Jest tam, w reducie” — odparł pułkownik. Lecz nie dość tego. Pobliski las roił się od jegrów rosyjskich, którzy co chwila wynurzali się z pośród drzew, aby ponawiać atak, podtrzymywany przez trzy dywizye. W końcu jednak, natarcie Morand'a na Szewardyń a Poniatowskiego na lasy Jelni—zniechęciło do reszty armię Bagration'a; jazda Murat'a dokonała dzieła. Męst-

wem i zawziętością odznaczył się zwłaszcza regiment Hiszpanów. Zewsząd party, nieprzyjacieli ustąpił ostatecznie z reduty.

Równocześnie, cesarz wyznaczył pozycję każdemu z tych trzech korpusów. Reszta zaś armii posunęła się naprzód i ogólna strzelanina, przerywana od czasu do czasu salwami armatniami, trwała do późna, tak długo, póki wszystkie oddziały nie zajęły oznaczonego stanowiska.

Jeden z pułków Davouta, zbłądziwszy po nocy, minął naszą pierwszą linię bojową i znalazł się nagle wśród kirasyerów rosyjskich. Zaczęła walka. Rosyjanie zabrali nam trzy działa i ubili lub wzięli do niewoli trzystu ludzi. Wkrótce jednak pułk uformował się, tworząc czworobok, niekształtny wprawdzie, lecz bagnietami najezony i ogniem ziejący. Próżne były dalsze zakusy nieprzyjaciela. Pułk—choć mocno przetrzebiony—zdolał cofnąć się na właściwą pozycję.

Cesarz rozłożył się obozem na tyłach armii włoskiej, po lewej stronie traktu. Stara gwardya zwartym otoczyła go pierścieniem. Jak tylko ucichły strzały, krwawą czerwienią zapłonęły wnet ogniska. Po stronie rosyjskiej paliły się jasno, szerokim półkolem; po naszej stronie—nikłym migotały płomieniem, mniej liczne, nierówno rozrzucone, wskutek tego, że pułki nadciągały późno—znużone i senne, że okolica nieznana była, a paliwo w niedostatecznej ilości, dla zupełnego braku lasów, zwłaszcza na lewym skrzydle i w centrum.

Cesarz spał źle i krótko. Zbudziło go przybycie generała Caulaincourt'a który przywiózł wie-

ści ze zdobytej reduty. Ani jeden jeńiec nie dostał się w ręce nasze. Napoleon—zdumiony—wypytywał się o szczegóły. „Czy szarża kawalerii spóźnioną była? Czy istotnie postanowili Rosyanie zwyciężyć albo zginąć?”—Odpowiedziano mu, że wojska nieprzyjacielskie „sfanatyzowane przez swoich dowódców, nawykłe do walk z Turkami, którzy dobijają zazwyczaj rannych i mordują jeńców, wołały raczej ginąć, aniżeli poddać się”. Cesarz popadł wówczas w głęboką zadumę. Następnie zaś, sądząc, iż najpewniejszą będzie akcja, oparta na artylerii, kazał przybywać corychlej tym parkom, które nie zdołały jeszcze nadciągnąć.

Tejże nocy, przy wtórze gwałtownej wichury, jał padać drobny i zimny deszcz. Zbliżała się jesień, nowy i groźny wróg, tem groźniejszy, że dostrojony do identycznej ewolucji w życiu Napoleona; wiadomo zaś, jaki potężny wpływ wywierają pory roku na odnośne fazy ludzkich istnień!

Ileż różnorodnych trosk i niepokojów kryło się w mrocznem łonie tej dżdżystej, posępnej nocy! O chłodzie i głodzie krzatali się oficerowie i żołnierze, czyszcząc broń, naprawiając mocno już wyszarzane i podniszczone mundury; generałowie—a nawet i cesarz—pod wpływem złowróżbnych przepowiedni Murat'a, z lękiem wyglądali świtu, obawiając się, że Rosyanie — zniechęceni porażką poprzedniego dnia—umkną znów pod osłoną nocy. Kilkakrotnie zdawało im się, iż bledną i maleją ogniska nieprzyjacielskie, a podejrzany jakiś gwar rozbrzmiewa w oddali.

Lecz dopiero o dziennym brzasku przygasać zaczęły świetlane kręgi biwaków nieprzyjacielskich.

Tym razem nieprzyjaciel znajdował się w pobliżu. Białe promienie wrześnieowego słońca padły z ukosa na obie armie, które na tych samych stały pozycjach—promienne, radosne. Dobiegała nareszcie kresu ta dziwaczna wojna, nieokreślona i nieuchwytna — a skądinąd nie syta krwawych ofiar i nadludzkich niemal wysiłków; oczekiwana bitwa rozstrzygnąć miała wszystko, postanowić o dalszych losach kampanii!

Cesarz skorzystał był z pierwszych cieniów zapadającego zmierzchu, aby wydostać się między obie linie bojowe i—z pagórka na pagórek—objechać cały front nieprzyjacielski.

Powracając z tego rekonesansu, ułożył ogólny plan bitwy. „Eugeniusz będzie osią i ośrodkiem walki; prawe skrzydło ruszy najpierw w ogień, a gdy zajmie pod osłoną lasu przeciwną mu baterię, zwróci się nagle na lewo i zaatakuje flank armii rosyjskiej, spychając ją na prawo, ku mostom Kołogi.”

Ująwszy całokształt, zajął się niezwłocznie opracowaniem szczegółów. W ciągu nocy trzy baterie — po sześćdziesiąt dział każda — stanąć miały równolegle do redut rosyjskich; dwie baterie wprost lewego skrzydła, jedna—wprost centrum. Korpus Poniatowskiego, zredukowany do pięciu tysięcy ludzi, wyruszyć miał o świcie starym traktem smoleńskim i obejść las, o który opierało się prawe skrzydło francuskie i lewe rosyjskie, osłaniając jedno a niepokojąc drugie. Szarża Polaków miała być hasłem do boju.

Zagrają wówczas wszystkie działa, grad kul i kartaczy posypie się na lewe skrzydło i na reduty Rosyan, ryjąc w szeregach krwawe bruzdy, okropne szerząc spustoszenie. Jednocześnie—od luf połyskliwa, bagnetami najeżona — runie piechota Davout'a i Ney'a, podtrzymywana przez Junot'a i jego Westfalczyków, przez kawalerię Murat'a, wreszcie przez cesarza i dwudziestoty-sięczną, groźną a niezwyciężoną gwardyę. Przeciwno tym dwóm redutom skierowane będą początkowo wszystkie usiłowania, gdyż zajęcie tych nader ważnych posterunków dawało niezmierną przewagą nad okaleczoną i zewsząd otoczoną armią nieprzyjacielską.

Zważywszy wszelako, że silnie obsadzone centrum i prawe skrzydło rosyjskie zagrażało traktowi moskiewskiemu, który był jedyną linią operacyjną Wielkiej Armii; że przez skierowanie wszystkich niemal pułków swoich—nie wyłączając własnego korpusu — przeciwko lewemu skrzydłu nieprzyjaciela, Napoleon odgradzał się dobrowolnie od traktu nurtami Kołogi — umyślił wzmocnić zajmującą tenże trakt armię włoską dwiema dywizjami Davout'a i kawalerią Grouchy'ego. Dywizya piechoty włoskiej, Bawarczycy i jazda generała Ornano, razem około dziesięciu tysięcy ludzi, osłaniać miały lewy flank francuski. Takimi były plany Napoleona.



KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

<http://rcin.org.pl>

Univ. Warsz.

e. 151

1086

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

PODWALINĄ BYTU

każdego człowieka jest właściwe i higieniczne odżywianie w latach dziecięcych

MĄCZKA MLECZNA NESTLÉ'a

jest uznana przez największe powagi lekarskie jako najodpowiedniejszy pokarm dla niemowląt i dzieci.



Kto chce mieć pewność, że używa nabiał czysty, nie fałszowany, niech kupuje tylko ogólnie znane i od lat wielu wypróbowane

produkty mleczne (śmietankę, mleko i serki oraz buljon „lacto“) firmy

„Rozentowo“

i niech nie zwraca uwagi na zachwalenie innych podobnych produktów. Żądać wszędzie.

GŁÓWNY SKŁAD NA KRÓLESTWO POLSKIE

A. SZMOLKE, WARSZAWA

MARSZAŁKOWSKA 149. TELEFONU № 42-71.

<http://rcin.org.pl>

Towarzystwo Akcyjne
„Fr. Karpiński”

w Warszawie
ul. Elektoralna 35, telefon 600
poleca

Karpińskiego
Mydło Alkaliczne

do mycia twarzy u osób z cerą tłustą, potysku-
jącą skłoną do wągrów i pryszczycy, oraz przy
łuszczeniu się skóry. Cena kop. 40 za szt.

W wypadkach uporczywszych używać należy

Karpińskiego
Mydła Alkalicznego Nr 2

Cena kop. 40 za szt.

Karpińskiego
Mydła Ogórkowe

hygieniczne, usuwające opaleniznę i piegi.
Cena kop. 50 za szt.

Karpińskiego
Mydła Neutralne


znakomity środek higieniczny do pielęgnowania
twarzy, rąk oraz ciała u dzieci. Cena k. 40 za szt.

Żądać wszędzie.

Istniejący od roku 1805.

Zakład Ogrodniczy
i Skład Nasion

C. ULRICH

w Warszawie  Ceglana 11.

Poleca w wielkim wyborze:

NASIONA WARZYW
NASIONA KWIATÓW
NASIONA ROLNE
NASIONA TRAW
CEBULKI KWIATOWE

Drzewa owocowe w koronach
Drzewa i krzewy ozdobne
Drzewa alejowe i na solitery
Róże pienne i krzaczaste.
SZPARAGI, TRUSKAWKI i POZIOMKI

Narzędzia ogrodnicze i nawozy sztuczne.

PALMY, PAPROCIE, AZALJE, BZY
i DRZEWA LAUROWE

NAJWIĘKSZY POLITYCZNY DZIENNIK POLSKI

GAZETA WARSZAWSKA

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: SZPITALNA 14.

TELEF.: REDAKCYI 88, ADMINISTRACYI 25-51.

Rocznie	rb. 9.00	Rocznie	rb. 12.—
półrocznie	„ 4.50	półrocznie	„ 6.—
kwartalnie	„ 2.24	kwartalnie	„ 3.—
miesięcznie	„ 75	Za granicą:	
za odosłanie do domu 10 kop. mies.		kwartalnie	rb 4.50
Z przysyłką pocztową:		Zmiana adresu 20 kop.	

CENA PRZEDPŁATY W WASZAWIE:

Cena oddzielnego egzemplarza 3 kop. Dostać można we wszystkich ajencyach pism, kioskach i na kolejach.

Najpoczytniejszy organ na prowincyi.

Puder Venus

Najwytworniejszy i higieniczny

puder dla pań oraz Krem VENUS

Usuwający piegi i plamy.

poleca Laboratorium

St. Górskiego, Leszno 12.

„PROMIEN”

Gzytelnia dla dzieci i młodzieży

(oddział dla dorosłych)

Marszałkowska 119 (parter)

Telef. 181-90.

Książki w 4 językach; prenumer. pism.
*Codzienna dezynsekcja książek
na miejscu.*

Pracownia i Magazyn wyrobów

SREBRNYCH,

ZŁOTYCH i

z BRYLANTAMI

KAZIMIERZ

BRETSZNAJDER

Warszawa, Marszałkowska 92.

FORTEPIANY PIANINA

po cenach najniższych poleca

A. Owczarski

Mazowiecka Nr. 11.

tel. 110-38.

Gruntowne reparacje.

St. Lipczyński

GRAWER

Dostawca towarzystw Sportowych

WARSZAWA

Marszałkowska Nr. 149.

tel. 134-84 18-24

WAGR. W. ZŁOT. MEDALEM W PARYŻU.

ZNANY

ZE SWEJ

SKUTECZNOŚCI

NA WYNIŚCZENIE

ODCISKÓW

WYSTRZEGAĆ SIĘ

ARAGO

ST. GÓRSKIEGO

351

60 k

LESZNO 12

NAŚLABOWNICTWO

K
922
/1